ŚWIAT

Nr. 15
10. IV. 1937.
CENA 1 ZŁ.



PRASTARY KRAKÓW PRZYGOTOWUJE SIĘ NA PRZYJĘCIE TURYSTÓW Z CAŁEJ POLSKI W CZASIE WIOSENNYCH „DNI KRAKOWA". TAK ZAJAŚNIEJĄ WŚRÓD KWIECIA WIEŻE KATEDRY WAWELSKIEJ

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXII Nr 15 10.IV 1937

POŁÓW PEREŁ

Rozmyślania posezonowe

Minister — to człowiek publiczny. Trudno — „stojąc na świeczniku", niczego ukryć nie może. Ani swego skromniutkiego pochodzenia. Ani swego wykształcenia — lub braku wykształcenia. Na to niema rady.

To też nie możemy zrozumieć przestępstwa, które rzekomo popełnił poseł Sommerstein w Sejmie, kiedy podczas debaty nad sądami przysięgłych wspomniał, że nietylko sędziowie przysięgli byli w Polsce ludźmi nieprzygotowanymi do swego zawodu. I dodał: *„Przecież mieliśmy ministra sprawiedliwości, który był absolwentem szkoły kawaleryjskiej w Petersburgu"*.

Na to odezwał się marszałek Car: *„Przywołuję pana posła do porządku z zapisaniem do protokułu"*.

„Niech skonam" — jak mówi Sielański — jeżeli mi kto wytłomaczy, za co posła spotkała nagana.

Pieniądze nie mają zapachu

Czytamy w „Epoce":

„Trzecia Rzesza i Sowiety płoną świętym ogniem nienawiści wzajemnej, ale wcale im to nie przeszkadza przyjaźnie handlować między sobą. Co więcej, nawet nie przeszkadza Niemcom uzbrajać nienawistnego przeciwnika. Prasa francuska donosi, że 40% zakupów sowieckich w hitlerowskim państwie obejmuje materiał wojenny, nie wyłączając sprzętu lotniczego".

Ideały ideałami — a mamona mamoną.



Tout comme chez nous

Podobno słodko jest mieć towarzyszy w nieszczęściu. Więc pocieszmy się. Czytamy w prasie codziennej, że Jugosławja dość kiepsko wychodzi na swym handlu z Niemcami. No poprostu — nie płacą. Winne już około 100 miljonów złotych — takiej małej biednej Jugosławji... Na interpelacje w tej sprawie ze strony Białogrodu, Berlin — udaje greka. Co tam greka— udaje trupa!

Znamy, znamy... I nam się przecież ładnych parę groszy z Berlina należy.

Tylko, że Jugosławja zorjentowała się i zareagowała szybko: zmniejszyła natychmiast swój wywóz do Niemiec o połowę.

A my?

My będziemy latami „uzgadniać", konferować, rozjeżdżać salonkami do Berlina, i wkońcu zadowolimy się... obietnicami i sperandami.

„Motoryzacja"

Jeszcze. I do upadłego.

Nowy nonsens, proszę państwa. W Warszawie dążącej podobno do zeuropeizowania swego wyglądu i swej lokomocji — skasowano w śródmieściu cały szereg postojów dla taksówek. Dlaczego? Bo szoferzy hałasowali.

Nie przyszło „władzy" na myśl, żeby za te hałasy karać ich doraźnie dotkliwemi wysokiemi grzywnami. Nauczyliby się moresu w dwa dni...

Nie, u nas systemy są inne.

Nazywają się: „wylać wodę z wanny wraz z dzieckiem".

Złodziej też musi żyć

Sąd okręgowy w Radomiu rozpatrywał ostatnio sprawę trzech sołtysów o kradzież, czyli o delikatnie t. zw. „przywłaszczenie". Wszyscy trzej — a mianowicie Kroczak, Heba i Kolenda — skazani zostali na więzienie i pozbawienie praw obywatelskich.

Gdzie „pointa" — zapytają państwo.

Niestety — pointa jest już znana i nawet cokolwiek stępiona: wszystkim trzem złodziejom wykonanie kary naturalnie zawieszono.

Na trzy lata.

Żeby mieli możność rozwinięcia nowej „pożytecznej" działalności, prawdopodobnie...

Tylko to

Jasność myśli jest, jak wiadomo, cechą narodów łacińskich. Celują w niej włosi, a zwłaszcza francuzi. Francuzki okazuje się także.

Wpadł mi w ręce w pewnym francuskim tygodniku „dział kobiecy". O fatałaszkach, kuchni, kosmetyce, i t. d. Były tam i wymiany listów między czytelniczkami. Jedna z nich żaliła się innym, że ją zajęcia gospodarskie męczą i nudzą. Jakby na to zaradzić?

Odpisała na to jakaś pani słowami, które w Polsce byłyby objawieniem:

„Kto chce, żeby go własne zajęcie interesowało, musi przedewszystkiem postanowić sobie, że wykona je *jak tylko potrafi najlepiej*. I lepiej od wszystkich innych ludzi, którzy się tem samem zajmują. Ten wysiłek — i poczucie, że się dało z siebie wszystko, że się wykonało pracę w sposób najdoskonalszy — może człowiekowi zapewnić szczęście. Choćby to zajęcie polegało tylko na czyszczeniu codzień kilkudziesięciu par butów na korytarzu hotelowym".

Mądra francuska! Kobieta z charakterem.

W Polsce niestety najczęściej myśli się o tem, jakby się od własnego zajęcia — *wykpić*. Dlatego nie znajduje się w niem zadowolenia. I dlatego polacy są przeważnie skrzywieni na swój los...

W czyich rękach

Otrzymaliśmy oficjalną listę nieruchomości, przeznaczonych na licytację we wschodnich województwach. Lista ta ujawnia dość jaskrawe proporcje narodowości wśród posiadaczy nieruchomości na kresach. Zawiera mianowicie na 117 nieruchomości żydowskich — tylko 23 polskie.

Ktoś pomyśli — naiwny — że widać polacy są mocniejsi finansowo?

Albo — że licytacje — to taki swoisty „chuligański" ucisk?

Ach, nie rozdrapujmy ran!

Licytacje są ściśle proporcjonalne do stanu posiadania. A proporcja ta wyraża tylko to, co sami żydzi — (nietylko we wschodnich województwach) — już dawno dowcipnie wyrazili: *„Wasze są miasta, tak. Ale domy w nich są — nasze"...*

Dziękujmy Bogu, że narazie zostawiono nam chociaż... ulice.

Ciernie profesji

Czy państwo lubią asystę policji? Ja nie. Chociaż jestem najspokojniejszym obywatelem Rzeczypospolitej, nigdy nie karanym, wogóle — „zwierciadło cnoty". Ale „pana władzę" wolę podziwiać z pewnej odległości. Np. patrzeć, jak reguluje ruch na Nowym Świecie.

To też żałość serdeczna wezbrała we mnie po przeczytaniu pewnej wiadomości. Wypoczywający i reperujący zdrowie na Jasnym Brzegu nasz minister, jak podały wszystkie gazety codzienne — ma tam stale asystę... polskiego policjanta.

„Strzeżonego Pan Bóg strzeże"... Zapewne.

Ale tak na codzień, od rana do nocy, z aniołem stróżem...

Biedni ci nasi ministrowie.

Różnice

Mówimy z rezygnacją: „My jesteśmy biedni... A na zachodzie są narody bogate". I nie robimy prawie nic, aby ten stan rzeczy zmienić.

Czy się porównywa np. intensywność pracy u nas i na zachodzie?

Każda polka, udręczona w kraju do szaleństwa przez leniwą, brudną i opieszałą służbę — podziwia, wyjechawszy do Europy, służbę tamtejszą: grzeczną, czystą, cichą i wykwalifikowaną. Co nasza umorusana Kasia dłubie przez szesnaście godzin na dobę — tam służąca „śpiewający" odrabia w pięć godzin — a potem jest wolnym człowiekiem, który ma czas i prawo do odpoczynku.

A nasi robotnicy?

Wyławiam w „Czasie" taki szczegółik: we Francji i we Włoszech w fabryce jedwabiu jeden robotnik pracuje jednocześnie *przy ośmiu krosnach*.

A u nas?

U nas — *przy dwuch...*

Dlatego produkujemy drogo, chociaż robotnicy nasi zarabiają mało.



Dysproporcje

Zasłużona instytucja naukowa we Lwowie, „Towarzystwo Miłośników Przeszłości Lwowa", otrzymała w roku bieżącym niezwykle hojną subwencję od rodzimego miasta. Dawniej udzielano jej rocznie 3 tysiące złotych. W roku bieżącym — uwaga, panowie! — subwencja wyniosła... *całe sto złociszów.*

Ale jednocześnie grono spryciarzy artystycznych już projektuje założenie w Stolicy jakiejś, pożal się Boże, *niezbędnej* nam podobno centralnej instytucji artystycznej, któraby zawiadywać miała wszystkiemi dziedzinami sztuki, dzierżąc je krzepko w swych dłoniach. Zbiurokratyzować sztukę? Ponury żart... Ale może się ziści.

Kto to wymyślił? Paru pomysłowych „posadowiczów" zapewne. Bo jeszcze wprawdzie nikt nie wie, co dana instytucja będzie właściwie miała do roboty — ale już ogłoszono, że będzie się *składała z 50 członków, z których każdy za swe trudy dla ojczyzny pobierać będzie miesięcznie 500 złotych.*

Niewiele? Może. Ale i tak za wiele...

Naród gentlemanów

Anarchiści hiszpańscy, jak pisze „Matin", masowo wyprzedają zrabowane skarby — złoto, brylanty i kosztowności. Usiłują je ulokować na najlepiej płacących rynkach Europy.

Część łupów zamierzali spławić w Londynie — jednak bezskutecznie. Nie chcieli tego towaru kupić angielscy jubilerzy — nie chciała też na to udzielić zezwolenia angielska policja.

W tym kraju istnieje poczucie honoru i dumy.

Anglik poprostu nie chce być paserem...

Formy kultu

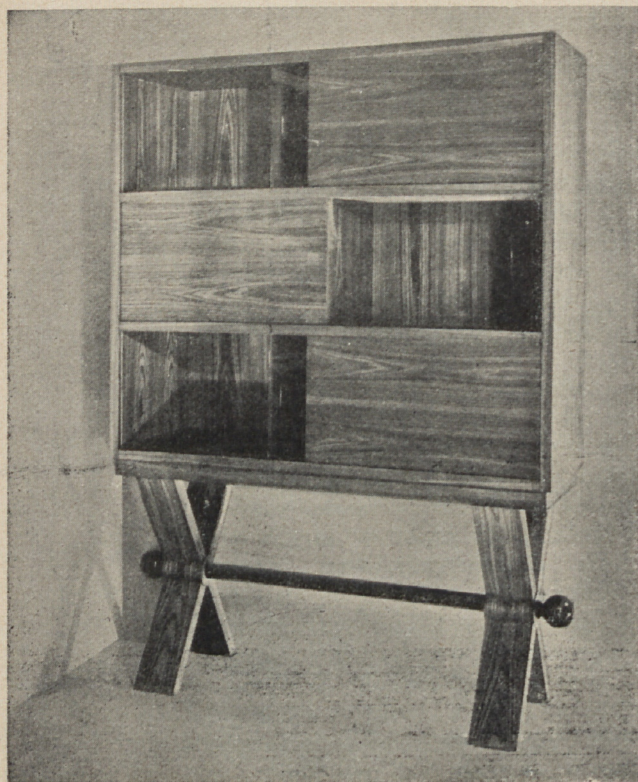
Słusznie mówią rosjanie: „Usłużliwyj durak opasnieje wraga"...

Bywają formy admiracji, na które niema określenia. W dniu imienin Marszałka Piłsudskiego przechodnie na ulicy Chmielnej w Warszawie mieli sposobność podziwiania popiersia Wskrzesiciela Ojczyzny w jednej z witryn sklepu wędliniarskiego. Popiersie było ohydne. Ale jeszcze ohydniejszy był materjał, z którego je wykonano.

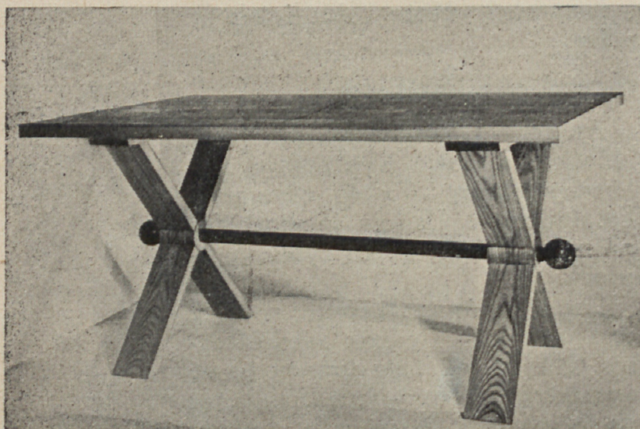
Jak państwo myślą — z czego to mogło być?

Było, — ze szmalcu!

Uparty nurek.



Stefan Sienicki. Pokój stołowy. Kredens



Stefan Sienicki. Pokój stołowy. Stół

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

WYSTAWA WNĘTRZ MIESZKALNYCH W IPS-ie

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że każda wystawa sztuki użytkowej interesuje dziś widza znacznie bardziej, niż wystawa t. zw. „sztuki czystej". Zdrowy to objaw: dowodzi on, że coraz szersza publiczność rozumie, że przedewszystkiem trzeba estetycznie skomponować i umeblować wnętrze mieszkalne, a potem dopiero zdobić je obrazami. Podkreślamy odrazu wytrwałość i pionierską wolę, z jaką Studium Wnętrz i Sprzętu przy Politechnice Warszawskiej zaprojektowało i wykonało swe zamierzenie: pokazania szeregu kompletnie urządzonych nowoczesnych wnętrz mieszkalnych, przeznaczonych dla odbiorców średnio - zamożnych.

Założenia wystawy były chwalebne: przy wysokim poziomie artystycznym przystępna cena — przedewszystkiem. Komplet jednego pokoju nie miał przekraczać 1500 zł. To niestety pozostało jednak w sferze założeń teoretycznych. Zaledwie najprostsze dwa czy trzy wnętrza zrealizowane zostały w tych granicach. Wiele innych, o które zapytywałam, osiągały sumy znacznie wyższe: 2800 zł. bardzo już odbiega od niskiego projektowanego maximum.

Drugiem założeniem podstawowem było użycie tym razem wyłącznie materjałów krajowych. Zupełnie słusznie. Posiadamy w Polsce gatunki drzewa tak piękne, że naprawdę obejść się możemy — (w skali meblarstwa średniego) — bez kosztownego importu drzew egzotycznych. A nasze pracownie stolarskie wykazały na wystawie, że znakomicie potrafią wyzyskać wszystkie walory estetyczne pięknego krajowego materjału.

Do ścisłej współpracy przystąpili więc architekci - projektodawcy i rzemiosło stolarskie. Architekci skorzystali podobno przy okazji zetknąwszy się zbliska z pracą wykonawczą. Przyznam się, że podkreślenie tego czynnika we wstępie do katalogu wystawy cokolwiek mnie zdziwiło: nie wyobrażałam sobie, żeby wogóle mógł pracować artysta - projektodawca mebli, nie obznajmiony gruntownie z tem rzemiosłem. Okazuje się, że tak było... Więcej nawet: według zdania komisarza wystawy, arch. Sienickiego — tak być poniekąd powinno. Czytam ze zdumieniem: *„Zbytnie zainteresowanie projektującego w technice rzemiosła lub odwrotnie rzemieślnika w projektowaniu — stwarza z nich albo rutynistę lub dyletanta - projektodawcę. Architekt, który nie przeniknął do głębi możliwości rzemiosła, może mieć śmielsze pomysły konstrukcyjne"*. Że jednocześnie może też popełniać herezje z punktu widzenia technicznego — tego arch. Sienicki, sam przecież doskonały znawca rzemiosła — nie bierze pod uwagę?).

Nawiasem mówiąc — trochę paradoksalnie w takiem ujęciu sprawy wygląda ogromne teoretyczne przygotowanie projektodawców mebli. Bo oto studjowali latami na Politechnice... wyższą matematykę, fizykę, wytrzymałość materjałów budowlanych, i wiele innych dziedzin niezmiernie specjalnych. Poto — aby w rezultacie projektować krzesła i szafy... bez *„przeniknięcia do głębi możliwości tego rzemiosła?"*...

Czy naprawdę trzeba siedmiu lat Politechniki na to, aby zaprojektować piękną kanapę? Wydaje mi się, że tu może w samej podstawie istnieje pewne nieporozumienie. Nieporozumienie to zresztą ujawnia się i w eksponatach wystawy. Przy niewątpliwych zaletach konstrukcji, przy dużem wyczuciu formy, grzeszy ona niemal powszechnym brakiem koloru. A jest to brak we wnętrzu mieszkalnem zupełnie zasadniczy.

W tem miejscu przypomnieć sobie należy, że jak zwykle wszystko w Polsce, taksamo usiłowania odrodzenia meblarstwa naszego idą u nas zupełnie równolegle dwoma odrębnymi torami. Jeden z nich biegnie przez Politechnikę, a drugi — przez Akademję Sztuk Pięknych. Na Politechnice zmysł konstrukcji wypowiada się zrozumiałym, celowym kształtem mebli — bardzo tu mało dziwolągów, jakimi nas raczyła niejednokrotnie Akademja. Ta ostatnia jednak bije Politechnikę poczuciem barwy.

Aby przejść od tych ogólnych rozważań do poszczególnych objektów wystawy, omówimy je tu pokolei.

Wchodzimy więc do pierwszego wnętrza, zaprojektowanego przez Stefana Sienickiego. Jest to skromny gabinet do pracy, przeznaczony np. dla referenta — unika zatem celowo wszelkiej ekstrawagancji, linje mebli są proste, kolor ścian dyskretny, spokojny zielony.

Następne wnętrze — też arch. Sienickiego — daje pole do szerszej inwencji twórczej: gabinet do pracy, przeznaczony dla wyższego urzędnika, lub też pokój pana w mieszkaniu prywatnym. Doskonała kolorystyczna harmonja drzewa dębowego barwionego na odcień szarozielony, drzewa czarnego — (gruszka polerowana) — oraz mocnych

akcentów czerwonych: skóra na meblach, zasłona przy oknie, parę czerwonych tulipanów pod oknem. Pomysłowe wyzyskanie dekoracyjne nawet telefonu — najbrzydszego zwykle przedmiotu na świecie. Nadano mu estetyczne płynne linje i jaskrawo - czerwoną barwę, harmonizującą z tonem skóry na meblach. Doskonale wybrany obraz Borowskiego uzupełnia to interesujące wnętrze.

Ma ono w moich oczach dwa błędy: niespokojny kształt biurka, może niepotrzebnie tak bardzo rozczłonkowanego, i piękną wprawdzie płytę tegoż biurka, obciągniętą czerwoną skórą. Czy jednak ta czerwień wrażliwego człowieka nowoczesnego nie zmęczy przy pracy?

Drugi błąd: dywan, który miał być zrobiony specjalnie — widocznie nie został wykonany. Tem sobie tłomaczę, że położono inny, którego odcień zielonawo niebieskawy „gryzie" się z odcieniem szaro - zielonym mebli.

Przechodzimy do następnego wnętrza — do pracowni architekta Gałęzowskiego i Pieńkowskiego. Jest tam wybitnie miło, przyjemne jest połączenie drzewa słomkowo - żółtego (zwykłej sosny woskowanej) z czarnym dębem, z którego wykonano uchwyty szuflad i drzwiczek.

Z kolei wchodzimy do pokoju stołowego, projektowanego przez arch. Sienickiego. Meble skromne z drzewa brzostowego, w charakterze oparte na polskiem sprzętarstwie, są próbą nawiązania do tradycji meblarstwa swojskiego. Prosty stół na krzyżakach, krzesła całe drewniane — (przydałyby się poduszki na siedzeniach, nawet jako akcent barwny!). Doskonała harmonja kolorystyczna stwarza nastrój wesoły, pogodny: żółciutkie jasne obicie w kwiatki, stonowane zielone zasłony w oknach, w żardinierze kwiaty, dobre szczegóły wykańczające to wnętrze, jak np. nakrycie stołu — wszystko to połączone stwarza z tego wnętrza jeden z najlepszych eksponatów na wystawie.

Dwa są tu łatwe do usunięcia niedopatrzenia: ordynarny chodnik, któryby zaledwie tolerować można w wiejskiej kuchni. I dziwaczna jakaś makatka na ścianie nad ławą — upleciona chyba z piórek.

Pokój stołowy Stefana Sienickiego stanowi, poza walorami samych mebli — wnętrze starannie wykończone, co nie o każdym z pozostałych dałoby się powiedzieć. Bo nie wystarcza postawić w pokoju kilku mebli, aby już to uważać za wnętrze mieszkalne. Byłaby to dopiero witryna u meblarza, a i meblarz nowoczesny dąży do skomponowania całości. Tymczasem w urządzeniu wielu z wnętrz na wystawie nie widać dociągnięcia do końca: brak tu nietylko kwiatów. Brak obrazów, brak miękkich, kolorowych plam jakie dają na meblach poduszki, brak drobiazgów dających życie wnętrzu.

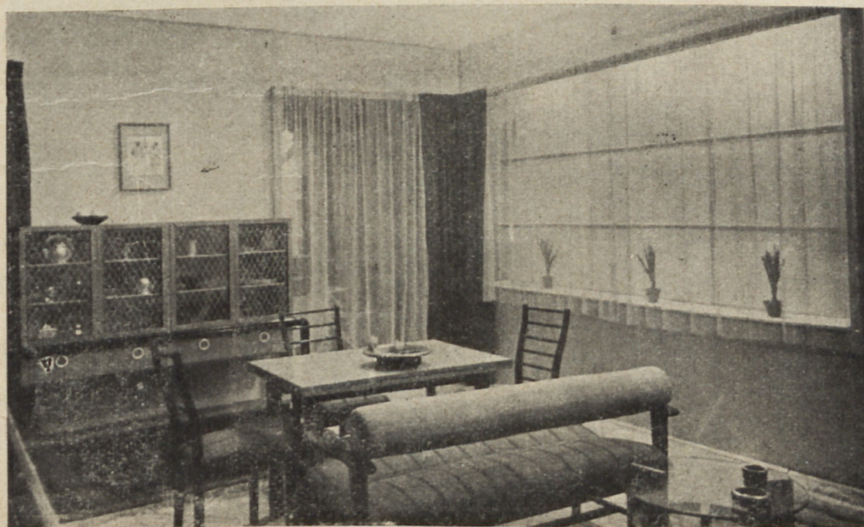
Jeśli idzie o ten charakter „mieszkalny" — to mają go na wystawie naprawdę tylko dwa wnętrza: stołowy Sienickiego i pokój mieszkalny Zofji Dziewulskiej.

Ten ostatni jest komponowany wybitnie kolorystycznie — młoda artystka nie ucieka przed barwą, czuje widoczną potrzebę wypowiedzenia się kolorem — i dlatego trafia do widza. Sama forma w mieszkaniu nigdy nie porywa — wzruszenie wywołać można tylko kolorem. Tutaj osiągnięto bardzo przyjemną harmonję przez śmiałe skontrastowanie drzewa i tkanin. Meble wykonane są z jesionu w połączeniu z czarną brzozą — trafny akord żółto - czarny. Ściana jasno - żółta, gładka. Obicie mebli rdzawe, zasłona i siatka przy oknach — niebieskie. Całość śmiała a spokojna, niezwykle pociągająca i właśnie taka: tu chciałoby się mieszkać...

Doskonały dywan Jadwigi Handelsmanowej w kolorze i kompozycji świetnie wtopiony jest w całość — natomiast obraz Rudzkiej-Cybisowej nie harmonizuje z nią wcale. Brak w tym pokoju kwiatów: dwa amarantowe tulipany na stole kłócą się z rdzawym obiciem kanapy. Niepotrzebnym też dodatkowym tonem barwnym jest szaro - zielonkawa tkanina, którą ob-



Stefan Sienicki Pokój stołowy (fragment)



Zofia Dziewulska. Pokój mieszkalny (fragment)

ciągnięto wałki na kanapie i fotelu. Wprowadza to niepokój i rozbija przemyślaną, bardzo dobrą harmonję.

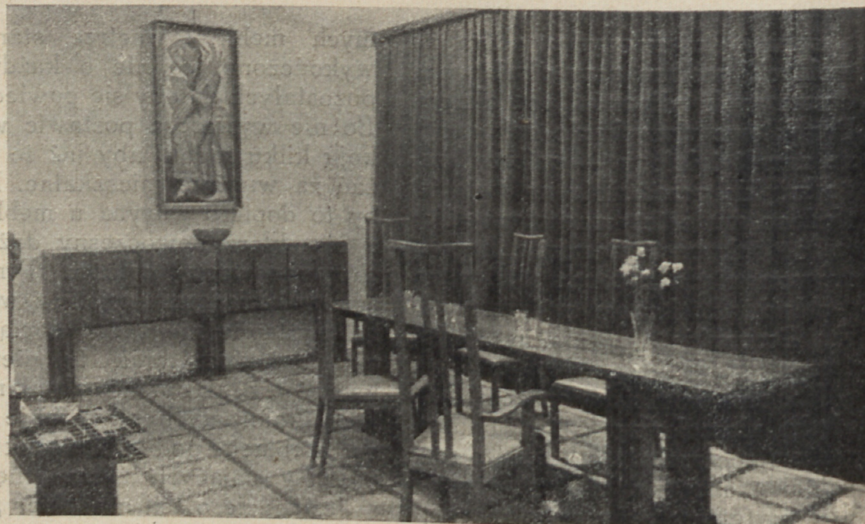
Świetnie dobrane są do tego wnętrza rzeźby Julji Keilowej, raz jeszcze tu potwierdzające swoje walory dekoracyjne.

Gabinet arch. Kozińskiego, przeznaczony do pracy i wypoczynku, ma piękne meble, i przyjemnie zgaszone zestawienie kolorów: seledynowe ściany, rude drzewo mebli (gruszka czerwona polerowana), szare samodziałowe obicie. Bardzo dobre zielone tkaniny w oknach i na drzwiach. Niesharmonizowany z całością, za duży wazon na biurku.

Stołowy arch. Lubińskiego wydaje się martwy, pomimo niewątpliwych zalet samych mebli, wykonanych starannie z orzechu krajowego.

Wnętrze nie jest jednak wykończone — nie jest właściwie nawet urządzone. Jaskrawa plama barwna na tem spokojnem szarem tle zrobiłaby doskonale. Na stole w kolorowej misie powinny leżeć pomarańcze, a na małym stoliczku zamiast burej lampy postawić by trzeba lampę z abażurem słonecznym — odrazu by ożył ten pokój, i inaczej przemówiłby do widza. Brzydki dywan — wygląda jak brudnawa ścierka — jest zaprzeczeniem walorów, których wymagamy od dywanu. Powinien on być tłem dla mebli, wiązać i zestrajać barwnie ściany, meble i tkaniny. Jakże tę rolę ma spełnić pokudłana powierzchnia o barwie nieokreślonej?

Stołowy arch. Leykama — to może jedyne wnętrze, które mi jest



Marek Leykam — Pokój stołowy (fragment)

wyraźnie antypatyczne. Proporcja krzeseł dziwaczna — oparcia mają 83 centymetry wysokości! Proszę wziąć do ręki centymetr, odmierzyć to na własnych krzesłach — i odtworzyć sobie w wyobraźni, jak to wygląda... Wygląda jak stado żyraf, spędzonych do wodopoju.

Władysław Wołkowski wystawił projekty splotów na krzesła i taborety — wyjątkowo pomysłowe i dekoracyjne. Okazuje się, że istnieją niewyzyskane a przebogate możliwości nawet w tak niepozornej dziedzinie, jak wyplatanie krzeseł — i że w tej dziedzinie prawdziwy artysta stworzyć może rzeczy niezmiernie ciekawe.

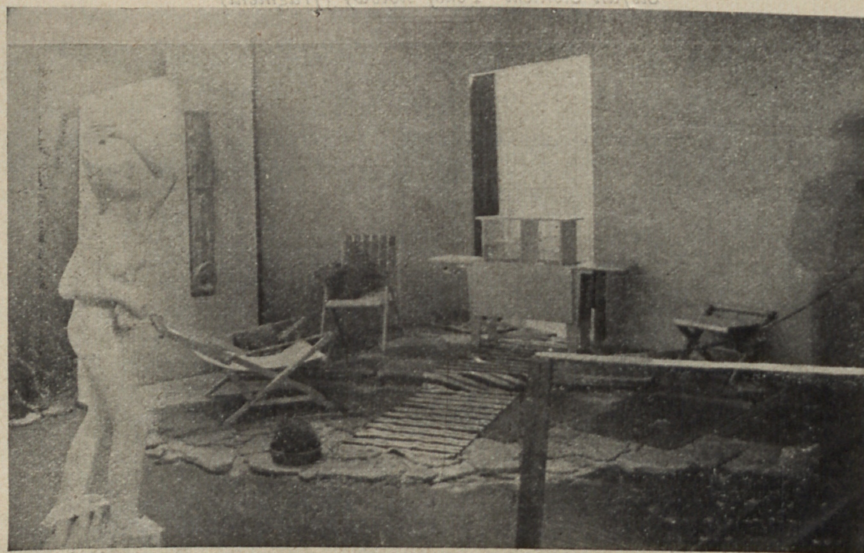
Wychodzimy na taras...

Okropny. Wogóle nie skomponowany. Fotele i krzesła składane, obite surowem bezbarwnem płótnem, kamienna pogruchotana podłoga— wymieniono nawet kto ją „komponował" (!) — kostropaty chodnik szaro - bury, mało kwiatów, zupełny brak kolorów — które tu powinny być jaskrawe, żeby przecież na słońcu grały i cieszyły oko.

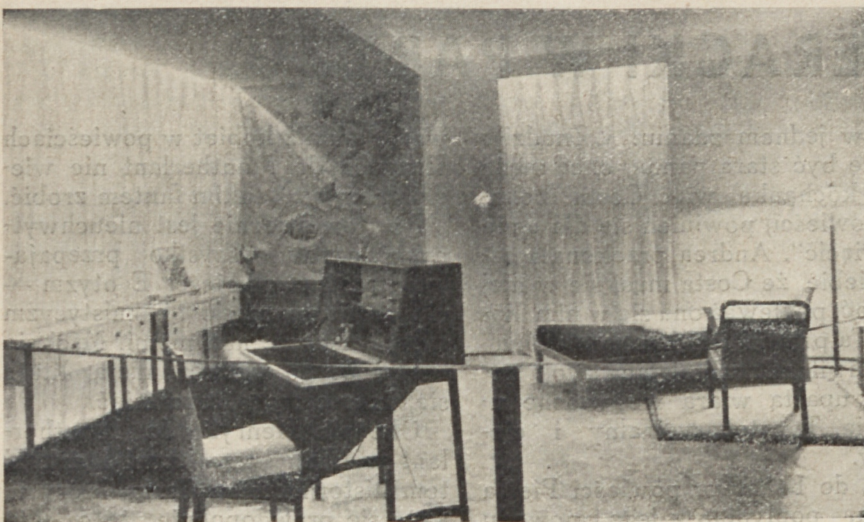
Ten „taras"—to jedna wielka nędza. Stołeczki, na których siedziałby chyba samobójca. Jedna jedyna na całym „tarasie" poduszka — znów stracone niezliczone okazje do wyzyskania gry kolorów. I na tej pustyni — rzeźba Strynkiewicza, nudząca się, jak potępieniec...

Wracamy z tarasu do mieszkania. Wchodzimy do pokoju sypialnego arch. Sienickiego. Dobre meble, o przyjemnych proporcjach, miłe zestawienie barw — oto, co się rzuca w oczy jako pierwsze wrażenie. Użyto do wykonania mebli drzewa jasnego — wiązu polerowanego, połączono go bardzo dobrze z ciemno - bronzowym aksamitem. Jasno - lila ściany i ciemnofioletowa zasłona dopełniają tej spokojnej harmonji. Znów tu mamy doskonały dywan Jadwigi Handelsmanowej, świetnie dobrany obraz Borowskiego — (może nawet specjalnie malowany do tego wnętrza?) — ale zupełnie nieodpowiednią, za dużą i nadmiernie realistyczną rzeźbę Kamińskiej. Całość — byłaby naprawdę bardzo kulturalna, gdyby nie pewien zupełnie zbędny akcent „ludowości" w tem wykwintnem wnętrzu. Oto łóżka nakryto przeraźliwymi chłopskimi szmaciakami, zeszytymi z wąskich pasów — farbowanymi aniliną na cierpki fiolecik! Nad łóżkami zaś powieszono bardzo niefortunną Madonnę. Gdyby owe szmaciaki zastąpić chociażby gładkim aksamitem, a nad łóżkami powiesić naprawdę piękny obraz lub rzeźbę— wnętrze to byłoby bez zarzutu.

Pokój pani, arch. Bogusławskie-



Włodzimierz Padlewski — Taras



Jan Bogusławski — Pokój pani

go — bardzo jasny. Drzewo jaworowe w kolorze naturalnym połączone z barwioną na palisander brzozą. W takim samym kolorze bronzowym dywan Handelsmanowej — bardzo dobry. Raz jeszcze artystka ta wykazała na tej wystawie swą nieprzeciętną kulturę i wybitne poczucie roli tkaniny we wnętrzu mieszkalnem. Pokój Bogusławskiego, pomimo niektórych bardzo dobrych szczegółów, jak np. sekretarzyk — ma dość wyraźne braki. Więc np. dwie obok siebie stojące komódki — na bardzo wysokich nogach, zajmują niepotrzebnie mnóstwo miejsca w pokoju — a nie dają w nielicznych szufladkach możności ułożenia tego wszystkiego co „pani" mieć w swym pokoju musi, jeżeli ten pokój ma być ubieralnią, miejscem pracy i miejscem odpoczynku. Pozatem — wstrzemięźliwość kolorystyczna — (czy strach przed kolorem?) — posunięta tu jest niemal do krańcowości. Nawet kolorowej poduszki na kanapę bał się projektodawca rzucić — i położył białe futerko, bardzo już myszką trącące w dobie hygjeny, i możliwe jedynie na podłodze jako dywanik pod nogami. Wywrotny blaszany stołeczek przed toaletą nakryto również białem koziem futerkiem — wygląda to opłakanie. Rzeźba Strynkiewicza bardzo dobra. Fresk Cybisa kolorystycznie dobry — ale w kompozycji za ciężki.

Jeszcze jeden pokój pani — arch. Prószyńskiego. Bardzo niezwykły i frapujący. Meble zupełnie jasne, prawie białe, w połączeniu z czerwonym gładkim dywanem i czerwonem wyplataniem krzeseł — dają nieoczekiwany, rzadki kontrast. Uzupełnia go w sposób bardzo śmiały jaskrawozielony wielki fotel, postawiony na czerwonym dywanie. Jasny, bladozielony kolor ściany stwarza doskonałe tło — na którem postawiono świetnie wybraną i bardzo interesującą rzeźbę Rzeckiego. (Niepotrzebny i rażący biały słupek — podstawa).

Olbrzymi tapczan obity białą materją daje pole do nieporozumień. Wiele osób mówiło: czemu zostawili pusty materac? Tymczasem to nie był materac, tylko obicie tapczana. Gdyby rzucono na tę białą pustynię jedną poduszkę czerwoną w kolorze dywanu, lub zieloną w kolorze fotela — przypuszczalnie i tapczan nabrałby zaraz cech wykończenia — i całość bardziejby się związała.

Zobaczyliśmy więc już wszystko...

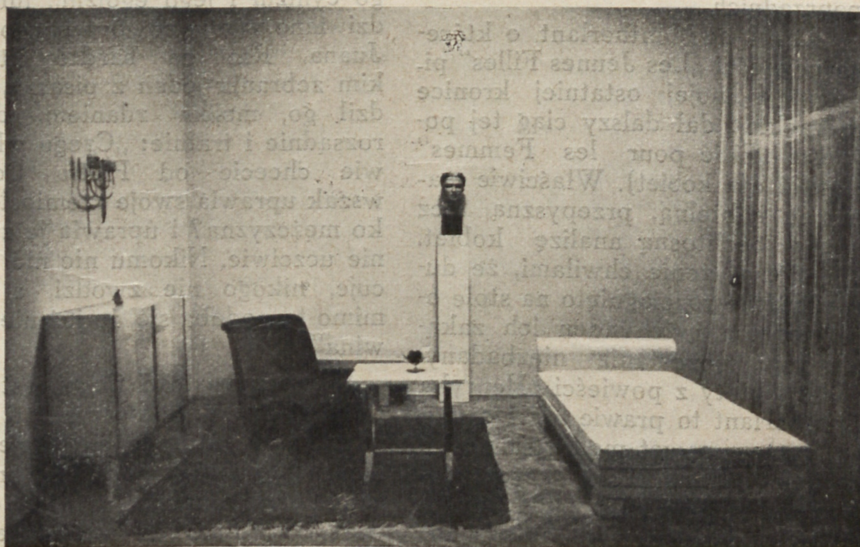
Konkluzja?

Dużo dodatnich osiągnięć w zakresie czysto meblarskim.

Ale wracamy do rozmyślań: jeżeli wychowankowie Akademji wykazali swoje niezaprzeczone poczucie koloru, a wychowankowie Politechniki istotną umiejętność operowania formą — (przeważnie przy braku zmysłu kolorystycznego) — to czemu te dwa elementy nie kojarzą się we wspólnym wysiłku?

Rzucam myśl oczywiście utopijną.

Ale platonicznie o tem pomarzyć czasem można.



Kazimierz Prószyński — Pokój pani

M. KASTERSKA

RUCH LITERACKI W PARYŻU

Choć z powodu kryzysu księgarze mniej stosunkowo wydają od roku, przecież nowości literackich nie brak na rynku paryskim. Nie chodzi mi o nagrody literackie, nie były one nadzwyczajne tego roku. Nagrodę Goncourt'a dostał Van der Meersch właściwie za swoją powieść zeszłoroczną t. j. tę, która o mało nie dostała zeszłorocznej nagrody. Ten „Najazd 14" lub jeśli kto woli „Inwazja 1914 r." jest rodzajem mocnego filmu powieściowego.Epizody są tam wycinane misternie, niby w kinematografie najlepszego gatunku, a jednak wiążą się w doskonałą całość powieści, bardzo nowoczesnej, bardzo wyrazistej i wcale dobrze zbudowanej. Jest to pewnego rodzaju inowacja i umiejętnie zastowana może dać wyborne rezultaty. Do najlepszych epizodów należą w tym obszernym obrazie - filmie okupacji niemieckiej na północy Francji sceny aresztowania i rozstrzelania starego profesora - matematyka Gaure, tajnego wywiadowcy francuskiego, zdemaskowanego przez Niemców. Ten sceptyk i dziwak zaczyna żyć nagle niezmiernie intensywnie, budzi się w nim wiara i bohaterstwo, którego się zapiera sam przed sobą. Wszystko to spało gdzieś pod grubą powłoką sofizmatów, egoizmu, przyzwyczajeń, zdeformowania profesjonalnego. Bliskość nieuchronnej śmierci budzi w nim wspaniałe nowe życie. Cóż z tego, że potrwa ono zaledwie kilka godzin? Jest i tak więcej warte, niż pustka jałowych lat poprzednich.

Henryk de Montherlant, o którego powieści „Les Jeunes Filles" pisałam w mojej ostatniej kronice literackiej, dał dalszy ciąg tej powieści „Pitié pour les Femmes" (Litość dla kobiet). Właściwie mamy tu subtelną, przepyszną, lecz niemal bezlitosną analizę kobiet. Ma się wrażenie chwilami, że dusze ludzkie rozciągnięto na stole operacyjnym i że żaden ich zakątek nie pozostanie niezbadany. Ale kobiety z powieści Henryka Montherlant to prawie zawsze ładne, czasem nawet mądre samiczki, dziwnie im brak duszy i serca. Andrea, najbardziej niby „uduchowiona" z tych bohaterek, zapisuje foljały — nawiasem mówiąc wcale ciekawe na temat dający się streścić w jednem zdaniu: „Znudziło mi się być starą panną, chcę męża albo kochanka, więc Costa (bohater powieści) powinien się dla mnie poświęcić". Andrea przekonała sama siebie, że Costa musi się w niej kochać, ponieważ ona się w nim kocha. Ta prowincjonalna „bas - bleu" jest chwilami rozbrajająca swoją naiwną upartą wiarą we własne urojenie. Typ to oryginalny i ciekawy.

Co do bohatera powieści Piotra Costa, popłynęło z jego powodu wiele literackiego atramentu w krytyce paryskiej. Oburzano się na jego cynizm i jego egoizm„ lub podziwiano w nim nowoczesnego Don Juana. Raz na bardzo literackim zebraniu jeden z pisarzy, osądził go, mojem zdaniem, dosyć rozsądnie i trafnie: „Czego właściwie chcecie od Piotra Costa? wszak uprawia swoje rzemiosło, jako mężczyzna? i uprawia je zupeł nie uczciwie. Nikomu nic nie obiecuje, nikogo nie zwodzi, a jeśli mimo to podoba się, to już nie jego wina".



W rzeczywistości Costa jest bardziej godny pożałowania, niż niewiasty, nad którmi się lituje. Bo one mają chociaż złudzenia, on zaś nawet się nie łudzi. Costa jest człowiekiem, który ma coś cennego i pięknego do ofiarowania: swoją duszę, ale nie ma komu jej ofiarować. Żadna z kobiet w powieściach Henryka de Montherlant nie wiedziałaby, co z takim fantem zrobić.

I w tem właśnie jest nieuchwytny, a jednak wszystko przepajający tragizm powieści Egotyzm — nie egoizm męski i mistycyzm męski mści się nad niemi. Mści się za to, że go nie rozumieją, lituje się, że nie mogą zrozumieć.

Obecnie Henryk de Montherlant w Nicei pisze trzeci i ostatni tom historji Piotra Costa, który ukaże się prawdopobnie tego lata pod tytułem „Na brzegu przepaści".

Dwie nowe książki dał Jerzy Duhamel, jeden z naiwybitniejszych autorów francuskich, od kilku miesięcy członek Akademii. Lat temu 15, jako początkująca dziennikarka interwiewowałam dla „Świata" słynnego już wtedy pisarza. Interwiew ten, pierwszy jaki był wtedy w prasie polskiej, przypomniał mi Duhamel, gdym przyszła go prosić o fotografię dla „Świata", dla którego zachował miłe wspomnienie. Od tego czasu Duhamel skończył już swój cykl Salavin'a, człowieka o podwójnej egzystencji i drugi cykl epopei burżuazji francuskiej, znany pod tytułem „Kroniki Pasquier", której ostatni tom ukazał się w tych dniach. Drugą książką Jerzego Duhamel, nieco różną, jako forma wypowiadania się, są prześliczne „Bajki z mojego ogrodu". W maleńkich najczęściej obrazkach - bajkach, niby w baśniach La Fontaine' a, mieszczą się prawdy głębokie, wypowiedziane z iście francuskim uśmiechem, subtelnie, artystycznie. I może właśnie dlatego robią tak silne wrażenie. Duhamel nie moralizuje, a przecież nasuwa szereg refleksyj w tych bajkach. Oto, na próbę, jedna z nich, króciutka:

„Koń spaceruje w gęstej trawie, która mu sięga aż do brzucha. Co za uczta! Jakże to poczciwe zwierzę musi być szczęśliwe i zadowolone!

Lecz koń o wyłupiastych oczach zdaje się nie widzieć tej trawy zielonej i pożywnej o świeżym zapachu. Wyciągając szyję, kalecząc się o kolce żelaznego ogrodzenia, z nozdrzami drżącemi z pożądania i bólu, koń czyni niezmierne wysiłki, aby dosięgnąć źdźbła, co wyrasta z trudem na polu są-

siada, na niewdzięcznem, dwa razy już skoszonem, ale jakże ponętnem polu sąsiada".

Z innych autorów współczesnych, księżna de Chimay daje ciekawy żywot słynnej „Pani de Tallien", owej piękności rewolucyjnej, dla której Tallien obalił Robespierre'a, a która później po wielu awanturach miłosnych została księżną de Chimay, na swoje nieszczęście, gdyż musiała wtedy odtrącona przez cały arystokratyczny świat, pokutować gorzko za winy młodości, zbyt bujnej młodości.

Jean Blanzat w powieści „Wrzesień" opisuje wyraziście tortury zazdrosnego męża, co swemi podejrzeniami unieszczęśliwia siebie, żonę, całą rodzinę i nawet swych przyjaciół, stając się wreszcie przyczyną duchowej zdrady ze strony żony. Trzeba mu przyznać, że prawie zasugestjonował biedną kobietę ciągłemi podejrzeniami, poprostu wmówił w nią tę zdradę.

Monika Saint - Hélier w powieści „Słomiany jeździec" rozwija dalej dzieje życia kilku protestanckich rodzin, rozpoczęte w poprzedniej swej powieści: „Uschłe drzewa". Obie powieści dobre, lecz cechuje je dziwna suchość, brak żywszego uczucia, o czem autorka zdaje się nas uprzedzać w tytułach. Dwie bohaterki powieści, Karola i Katarzyna, mimo poświęceń i miłości, posuwającej się do największych ofiar, pozostają dziwnie zastygłe w jakiejś wewnętrznej duchowej apatji.

W „Demonie Wieczoru", Charles Silvestre omawia w sposób subtelny i delikatny ostatnią miłość w życiu mężczyzny, miłość, która przychodzi czasem bardzo późno i jest może najpełniejszą i najpiękniejszą, ale musi pozostać w ukryciu, jeśli nie chce ośmieszyć się i jeśli chce zachować całe swe piękno. Jest to zresztą pogląd autora XX-go wieku, dawniej sądzono inaczej, dość przypomnieć „Połtawę" Puszkina, gdzie bohaterka poematu porzuca dom, rodzinę, naraża się na srom i wstyd dla przeszło sześćdziesięcioletniego Mazepy. A nie czyni tego dla jakichś pobudek interesu, bo sama jest bogatą i świetną księżniczką Koczubej, a Mazepa, jakkolwiek hetman kozacki, jest w oczach ludzi jej sfery tylko parweniuszem niepewnego pochodzenia. Charles Silvestre poruszył jednak temat dosyć rzadki w powieściach współczesnych i choć może nie wyzyskał go dostatecznie, dał coś ciekawego i oryginalnego.

Jacques Chardonne, znany romansopisarz-psycholog, w „Porcelanie z Limoge" daje dalszy ciąg swego cyklu — stanowczo cykle są modne teraz — dziejów protestanckiej rodziny przemysłowców z Limoges. Widzimy tu kłopoty powojenne tej rodziny i mimo związków rodzinnych, samotność moralną każdego jej członka. Jacques Chardonne jest dobrym obserwatorem, postacie swe starannie wycieniowane, umie wykończyć w najdrobniejszych szczegółach nieskończenie precyzyjnie, lecz pozostawia może zbyt mało miejsca prostej ludzkiej uczuciowości i dlatego jest w twórczości jego coś dziwnie suchego i zimnego.

Wreszcie warto dodać słów parę o politycznej literaturze obecnej. Robert Brasillach w serji „actualités" kreśli ciekawy i niezmiernie żywy portret szefa „rexistów" belgijskich Leona Degrelle, człowieka młodego, pełnego siły i życia, nielubiącego komplikować ani własnych spraw, ani cudzych, zmierzającego prosto do celu, bez ogródek. Słowem człowieka w typie kandydata na dyktatora, takiego, jakich lubi nasza epoka, takiego, jakich może zresztą i wymagają tu i owdzie zbyt zagmatwane węzły gordyjskie, których rozwiązać już nikt nie potrafi i które czekają, aby rozciął je mieczem nowy Aleksander Macedoński.

Znany i ceniony dyplomata francuski hrabia de Saint - Aulaire w książce swej „Genewa przeciwko pokojowi" bez żadnych iluzji spogląda na Ligę Narodów i jej rolę w polityce europejskiej. Jest to książka pisana źródłowo i fachowo, i dlatego zasługuje na zapoznanie się z nią. Dzieło zresztą może zbyt poważnie traktowane dla ogółu szerokiego czytelników, ale niemniej bardzo interesujące.

Po „rozczarowaniu" Andrzeja Gide do raju Sowietów, przyszła kolej i na innych pisarzy francuskich, którzy spowiadają się kolejno ze swych „rozczarowań". Jedną z ciekawych i bardzo szczerych książek na ten temat jest „Czerwona Gwiazda" Floryana Parmentier, który wyjechawszy do Rosji sowieckiej ze sporym zapasem złudzeń, z nieukrywaną radością wita granicę polską, gdy wraca do Francji. Gotów zachwycać się Niemcami po pobycie w Rosji. Takich książek jest coraz więcej i jak dawniej prawie wszystkie książki powracających z Rosji sowieckiej rozbrzmiewały entuzjastycznemi pochwałami, zresztą dość bezkrytycznemi, tak obecnie co krok spotyka się krytyki „rozczarowanych". Jest to znak czasu wcale charakterystyczny i ciekawy.

Książki nadesłane do Redakcji

August Comte. — Rozprawa o duchu filozofji pozytywnej. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1936.

J. D. Solikowski. — Lukrecja. Opracował J. Krzyżanowski. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1936.

Janina Rosnowska. — „Żywe kamienie". Wacława Berenta. Wyd. Min. W. R. i O. P. Warszawa 1937.

Rafał Leszczyński. — Iudith. (1620). Oprac. M. Sipayłłówna. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1936.

Adam Madler. — Droga. (Dramat). Wyd. F. Hoesick. Warszawa 1937.

Stanisław Ciesielczuk. — Teatr natury. Wyd. F. Hoesick. Warszawa 1937.

Tadeusz Zelenay. — Jesień sentymentalna. Wyd. F. Hoesick. Warszawa 1937.

Dr. Wł. Natanson. — Prądy umysłowe w dawnym Islamie. Wyd. Książnica - Atlas. Lwów — Warszawa 1937.

Mariusz Zaruski. — Z harcerzami na Zawiszy Czarnym. Wyd. Książnica-Atlas. Lwów — Warszawa 1937.

Hanna Malewska. — Żelazna Korona, 2 tomy. Wyd. Książnica - Atlas. Lwów — Warszawa 1936.

Jan St. Bystroń. — Nazwiska polskie. Wyd. Książnica - Atlas. Lwów — Warszawa 1937.

Roman Starzyński.—Cztery lata wojny w służbie Komendanta. Wyd. Inst. Józefa Piłsudskiego. Warszawa 1937.

Z. Jasiński — Morze w poezji polskiej. (Antologja). Wyd. Główna Księgarnia Wojskowa.

Augustyn Steffen. — Zbiór polskich pieśni ludowch. Nakł. Tow. Pomocy Dzieciom i Młodzieży Polskiej w Niemczech. 1937.

ŚWIAT SPORTU
ZAMYKAMY SEZON



Ewa Prawitz, Berlin, na międzynarodowych zawodach łyżwiarskich w Zakopanem 1937 r.



Wicemistrzowie Polski w jeździe parami, Barbara Chachlewska i kpt. Alfred Theuer



Emmi Pollak, Wiedeń, na międzynarodowych zawodach łyżwiarskich w Zakopanem 1937 r.

Kiedy spóźniona wiosna ociąga się z triumfalnym wkroczeniem i gdy sporty „letnie" jak: piłka nożna, tenis, lekkoatletyka rozpoczynają swą intensywną pracę — możemy o sportach zimowych powiedzieć, iż zamknęły sezon. Omawialiśmy parę tygodni temu rezultaty mistrzostw hokeyowych — spójrzmy dziś na łyżwiarstwo. Bije w oczy fakt, iż właściwie obecnie dwa okręgi jedynie kultywują ten piękny sport. Warszawa i Śląsk z Katowicami na czele — to jedyne ośrodki łyżwiarstwa figurowego. Przyczem, o ile uwzględnimy, że Katowice mają sztuczny tor, lodowisko działające pięć miesięcy — to musimy stwierdzić, że ze wszystkich 40 klubów zrzeszonych w P. Z. Ł. jedynie Warszawa, a w niej Warszawskie Tow. Łyżwiarskie przemogło trudności złych warunków atmosferycznych, lodowych i finansowych, dostarczając zapalonych zawodników, wiecej nawet,—prowadząc pożyteczną, celową propagandę łyżwiarstwa wszerz. Jest to objaw niesłychanie charakterystyczny. Sport uprawiany przez tysiące osób w Polsce, do pewnego poziomu, do wyżyn dochodzi tylko w Katowicach i w Warszawie. Katowice—rzecz zrozumiała — posiadanie lodowiska wszystko tłomaczy. Możliwość treningów stałych, regularnych, możliwość trenerów-zawodowców, jednym słowem same plusy! To też Katowice w roku bieżącym dzięki parze Kalusów, Schreibertównie, Ziajównie, Grobertowi, Breslauerom zdobyły prymat zupełny. Ale Warszawa i W. T. Ł. to jedyne miasto i *jedyny klub*, który, nie mając sztucznego lodu, nie mogąc sobie pozwolić wobec niepewności atmosferycznych na angażowanie trenerów-zawodowców zagranicznych, *wytrwał!*

Wytrwał na stanowisku, *obsyłając wszystkie zawody okręgowe, wszystkie zawody ogólnopolskie.*

Zawodnicy W. T. Ł. przedstawiają doskonały materjał i wysoki poziom jazdy. Posiadają też wielki walor sportowy: ambicję i zapał. Ćwiczą i pracują pomimo, iż nagła odwilż przerywa trening, że forma załamuje się przez przerwy, że jedyną możliwością regularnej pracy są krótkotrwałe wyjazdy do Katowic. W tych warunkach istotnie osiągnięte rezultaty, zdobyte zaszczytne miejsca w mistrzostwach są wyczynami dużej miary.

Towarzystwo w roku bieżącym działa przy wybitnej pomocy i działalności komisarza rządowego dyr. L. Wędołowskiego i Rady powołanej z pomiędzy członków Towarzystwa. Wybitny takt, oddanie się gorące sprawie uratowania Doliny Szwajcarskiej dla sportu łyżwiarskiego cechują pracę dyr. Wędołowskiego. Wyszedł on ze słusznego założenia, że „Dolina" w tej lub innej formie, musi stać się podstawą założenia sztucznego lodowiska Warszawy. Umiejętna i oszczędna gospodarka tymczasowej Rady Towarzystwa wybitnie popierana lub kierowana doświadczeniem i energją dyr. Wędołowskiego dały w tym roku (pomimo fatalnego sezonu ślizgawkowego) dodatnie rezultaty finansowe i sportowe.

Jakież były te wyniki? W mistrzostwach Polski za rok 1937-y Preisówna zajęła trzecie miejsce, to samo trzecie miejsce zdobył Kosiorek w zawodach panów, a para Barbara Chachlewska i kap. Alfred Theuer zdobyła II-ie miejsce i wicemistrzostwo Polski. W zawodach okręgowych łyżwiarze W. T. Ł. walczyli sami ze sobą, bo z... 16-u Towarzystw i Klubów należących do P. Z. Ł. na terenie okręgu Warszawskiego nie stanął ani jeden zawodnik. W klasie więc A, B, C, młodzi zawodnicy pp. Dąbrowska Jadwiga, Dąbrowska Hanna, Steckiewiczówna Irena, Bursche Anna, Kwiatkowska Danuta, Łaniewska Barbara, oraz pp. Henryk Kosiorek, Bohdan Owczarek, Wacław Serbin, Włodzimierz Pawłusiewicz — tworzyli grupę doskonale zapowiadających się i wytrwałych zawodników. Oprócz zawodów podkreślić należy urządzenie pokazów jazdy figurowej: w Pruszkowie (dwukrotnie), w Otwocku, nie mówiąc o Warszawie, gdzie zawody i pokazy były urządzone parokrotnie i różnorodne.

Old Boy.

H. KOROLEC-BUJAKOWSKA

SPOCZYWAJĄCY BUDDHA

(Koresp. własna z Burmy)

O czterdzieści mil od Rangoonu, na szerokim szlaku do Mandalay, leży śpiący Buddha. Jest tak ogromny, że w odległości paru mil angielskich widać go z okien pociągu, szosy, nieomal z barki płynącej na Irrawaddy. Zresztą z całej Burmy górnej i dolnej. Nie darmo jest największym Buddhą na świecie, może jedynie Japonja ma większego.

Tak mi opowiadano w Indjach o tym burmeńskim kolosie. Z Rangoonu chciałam go widzieć. Mgły deszczu zamazały horyzont. Ruszyliśmy w drogę. Już za parę godzin będziemy w Pegu. Z pół dnia przejdzie, zanim zwiedzimy starą stolicę królestwa Hkmer'sów. Jak mówią kroniki Mon, różne wojny widziało to miasto, Chińczyków, Tai, anglików — nawet król Cejlonu zrobił wypad wojenny, o czem znów kroniki miejscowe zapomniały wspomnieć, skrzętnie jednak zanotowali chińczycy.

W szesnastym wieku równorzędne potęgą stolice Pegu i Ava rywalizowały ze sobą o władzę. Gdy padła Ava w walce z shanami, Pegu nabiera znaczenia. Wzrasta w potęgę.

Jeszcze w roku 1586 Ralph Fitch, pierwszy angielski kupiec na terenie Burmy znalazł Pegu w stanie kwitnącym. A już w 1600 jezuita Boves opisuje ongiś świetną stolicę, jako melancholijną kupę gruzów. Potęgę i skarby stu zwycięzkich panowań wiatr rozwiał na cztery strony świata.

Mieścine z drzewa, bambusu i strzech zdobi prastara pagoda Shwe - Hmaw - Daw, większa i wyższa od Swe - Dagon, chluby Rangoonu, — i śpiący kolos. To wszystko co pozostało z królewskiej stolicy.

Ten posąg jest chyba największą atrakcją Burmy. Wyobrażałam go sobie z granitu conajmniej kilometr długi, potężny i groteskowo potworny. Śpi w trawie, jakby od niechcenia rzucony na tło zieleni.

Trzydziesta ósma mila na słupach drogowych. Pora zwolnić, uważać na zakrętach, by nie przegapić, zrobić w czas efektowne zdjęcie. Błękitna płachta tablicy. Długi napis zgłoskami palijskiego alfabetu. Djabła zjesz, zanim zrozumiesz co tam napisano dla uświadomienia przechodnia. Pod kątem prostym droga zieleni się darnią. Mijając zapuszczam żórawia w głąb. Oko odbiło się o biały mur olbrzymiego posągu. — Stój, na Boga.

Motor skręca gwałtownie. Sunie cicho po srebrzystych trawach. A przed nami wyrasta burmeński Światowid o trzech licach Buddhy.

Jest jakaś legenda z dawnych czasów świetności królewskiego dworu w Pegu, i zwycięskich Monhkmeraów. Opowiadają o trzech księżniczkach, które zrobiły ślub. A gdy się spełniły ich życzenia, białemi rączkami każda z nich zbudowała jedną figurę siedzącego Buddhy. Tak powstała dziwaczna pagoda Kwaik-Pun.

Legendę opowiedział na miejscu jakiś uprzejmy burmeńczyk w długiej spódnicy lundżi i hełmie korkowym, strojnym w jaskrawy, ceratowy pokrowiec.

Piąte przez dziesiąte przeleciało przez uszy. Cała



Pagoda Kwaik-Pun

uwaga skupiona na poczynaniach fotografa. Byle nie podszedł za blizko. W butach. Zaraz z krzaków pobliskiego monastyru wyskoczą rozżarte pundżi.

Ktoś kiedyś powiedział mi — „Nie interesuje mnie Burma. Ciężki, wypaczony barok południowego buddhyzmu. Piękno pagody można znaleźć w Siamie i w Cambodżi, ale nie tutaj, w Burmie jedynie bogac-



Dak Bungalow w-Burmie

two". — Tak jest naprawdę. Te napuchnięte posągi z alabastru, gipsu, malowane jaskrawo, złocone, bielone, z oczami z rubinów, są wstrętne. Tępota, rozlazłość wyrazu, bezmyślna brzydota aż odpycha.

Zaszeleściały trawy pod kołami motoru. Znów jesteśmy na szosie. Już Pegu. Mała mieścina nie brukowana, nie murowana, nic z dawnej chwały. Jak to nic? Od wieków do dziś dnia Pegu słynie ze swych pięknych garnków glinianych. Może z czasów bajki



... przed nami wyrasta burmeński Światowid

o królu, szewcu i zazdrosnym garncarzu i słoniu, którego szewc miał gotować na biało. Bajkowy garncarz z Pegu robił garnek na miarę słonia. Dziś jeszcze podobno potrafi zrobić objętości sześciuset litrów. Garnki te są chlubą Burmy. Znane pod nazwą martabanów, linją, wykończeniem ozdób i glazurą o wiele przewyższają ceramikę sąsiadów z Indji.

Jezioro, lekko przerzucony mostek z bambusu i czarna ze starości, drewniana pagoda. Patyna wieków osiadła kirem i pleśnią na pogiętych dachach i daszkach, na smokach, lwioludach z rozdziawionemi paszczami. Bardzo święte miejsce. Już na szosie przed mostkiem trzeba zdjąć obuwie z nóg.

Gdzie spoczywa Buddha? Stoimy na moście, pytamy przechodniów. Nikt nie wie. Dobre parę minut przeszło zanim trafiliśmy do burmeńczyka, który zrozumiał czego szukamy.

Skręciliśmy na lewo. Jedna mila jak głosi drogowskaz. Wiejska niebrukowana ulica, chałupy, wreszcie łąka. Staw ze świętemi rybami. Całe zbiorowisko małych stup Pondzi - czong. Już na drodze śpią stada parszywych psów i droga urywa się nagle przed długim hangarem. Jesteśmy chyba u celu. Gdzież posąg na zielonej łące?

Pod okapem blaszanego dachu wtłoczona potwornie wielka kukła biała, złocona, malowana jaskrawo. Jak brzydka lalka. Sto osiemdziesiąt stóp. Potworny w swym ogromie i obfitości kształtów, śpi Gauthama Buddha pod za nizkim i przykrótkim schronem. Stopy o złoconych, czerwonych paznogciach wysuwa na zewnątrz. Jest tak przyduszony dachem, przecięty żelaznemi słupami, że nie sposób przyjrzeć się całości. Paru pobożnych klęczy w kucki u potwornej dłoni. Są mniejsi od palców ręki boga.

Zachodzimy od strony łąki. Do tej nogi wystającej. Naprawdę fotomontaż jedynie da się zastosować. Całości objąć nie sposób. Jednak wszystkie próby poszły na marne. Negatyw nie wytrzymał nadmiaru brzydoty. Typowe rozczarowanie w zetknięciu się z przereklamowanemi cudami świata.

Do motoru przylgnęła stara baba z koszem pełnym jakiegoś śmiecia. Przysmaki świętych rybek. Nudzi, czepia się kół. Cóż, może są stare żółwie, pójdziemy popatrzeć. Biorę przetak za parę pajsów, schodzę do wody po omszałych schodach, rybki karmię sobie, rozrzucając kule. Żółw żaden przyjść nie chce, rybki małe, a deszcz padać zaczyna. Dalej w drogę, nic tu po nas.

Szeroki szlak woła przed siebie. Sto osiemdziesiąt stóp bielonego kloca pozostało za nami. Specimen burmeńskich świętości, notowany w przewodnikach, osławiony, rozkrzyczany, otoczony opieką wiernych, zmartwychwstały z zapomnienia. Do niedawna naprawdę leżał jeszcze w polu otwartem. Mech go porastał i trawy. Znam syna tego, co odnalazł zgubioną świętość. Był anglikiem. Dzisiaj musi zdjąć obuwie z nóg, by wejść pod blaszany dach hangaru.

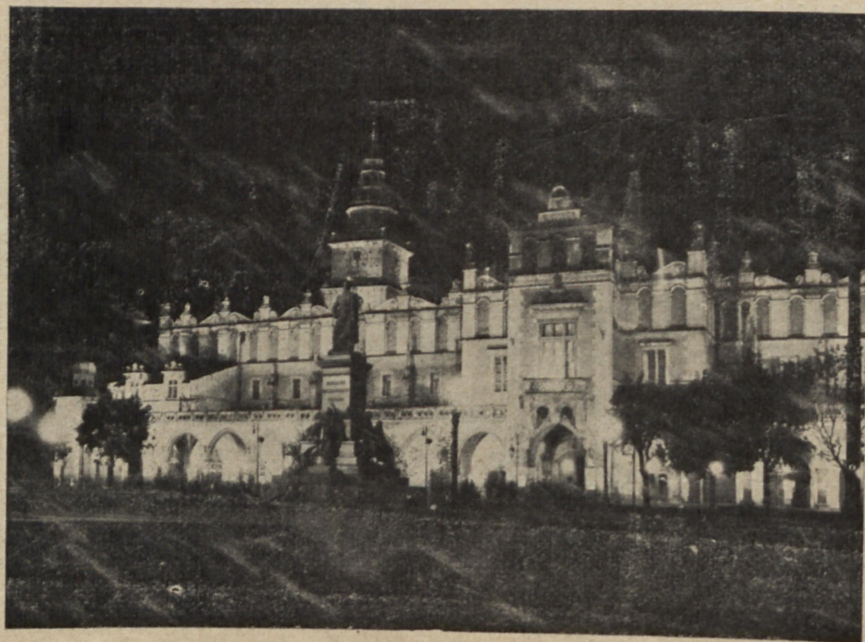
Wiemy, że do zakrętu na szlaku nic nam nie grozi. Żadnych notowanych zabytków. Mamy jeden cel. Przejechać jak najwięcej do wieczora. Uciekać od wody i deszczu, który nas goni. Uciekamy szybko, jednak dogonił o godzinie szóstej.

Staliśmy na drodze pod jakimś drzewem, skąpem w liście. Plandeka na głowie, a deszcz za kołnierzem. Gdzie okiem sięgnąć, szary mrok. Woda, woda. Wreszcie zapada noc, a deszcz wciąż leje. Zdeterminowani ruszamy naprzód. Do pierwszego dak - bungalowu byle suchy kąt i dach nad głową.

Smugi deszczu. Blask reflektora rzucony w aksamitną czerń nocy. Jakieś dziwaczne pudełko na wysokich nóżkach. Wtłaczamy się pod podłogę schronu. Po chwiejnej drabinie schodów wdzieram się na wysokie piętro, wlokąc bagaże. Zimno. Mokro. Wnętrze w formie gołębnika, dzielonego parawanami z dychty. Wiatr hula. Marzliśmy długo w noc, nie mogąc zasnąć. Deszcz bił o szyby, a po głowie tłukła się uparta myśl. Zawróć, zawróć póki czas jeszcze i droga odwrotu otwarta.

Wszystkie zdjęcia St. Bujakowskiego.

CO KRAKÓW POKAŻE PRZYJEZDNYM W „DNI KRAKOWA"



Rynek Krakowski i Sukiennice specjalnie oświetlone reflektorami

Sekcja wystawowa Komitetu Obywatelskiego „Dni Krakowa" ustaliła już w ogólnych zarysach program wystaw, jakie odbędą się w czasie „Dni Krakowa".

Muzeum Narodowe przygotowuje wystawę Grottgera. Otwarcie wystawy nastąpi dnia 26 maja 1937 r.

Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w gmachu swoim przy ul. Szczepańskiego na „Dni Krakowa" przygotowuje wystawę pośmiertną Leona Wyczółkowskiego. Wystawa ma skupić możliwie wszystkie prace Wyczółkowskiego.

Przewidziane są i inne wystawy, jak przedewszystkiem organizowana przez Muzeum Techniczno - Przemysłowe Wystawa figur i krzyżów przydrożnych Krakowa i okolicy art. mal. F. Jaźwieckiego.

GUSTAW OLECHOWSKI

27)

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

POWIEŚĆ

— „Japenza" już skorzystali z waszej cywilizacji.

— Wcale nie. Japończycy przyjęli technikę Europy, ale nie jej ducha.

— Na co nam duch, skoro nas jest czterysta miljonów.

— Czterysta miljonów ciał nie znaczy nic wobec jednego Słowa. Widzi pan przecież, że trzy odczyty wygłoszone przez trzech ludzi zdecydowanych na utratę karjery, bytu, powodzenia, może życia, ale mających wielki ideał przed sobą, w który wierzą, poderwały kongres wszystkich państw świata, a więc dwóch miljardów ludzi. Jeden człowiek—duch w ciągu pięćdziesięciu minut swego przemówienia przekreślił wszystkie programy wszystkich rządów, stronnictw, państw i narodów. Sługa uniżony. Jeżeli pański rząd zechce skorzystać z wiedzy, którą reprezentujemy, to niech nas zaprosi na doradców.

— I co nam pan doradzi?

— Zamknąć wszystkie wasze szkoły, a założyć sto tysięcy szkół prowadzonych przez europejskich nauczycieli, którym my damy instrukcje. Po dwóch pokoleniach staniecie się wielkim mocarstwem. Inaczej...

Chińczyk się uśmiechnął, ale niepewnie. Wszystkie odpowiedzi Zima biegle wystenografował i pożegnał się bardzo uprzejmie.

* * *

Po wyjeździe Niny, Willy'ego, jego ojca, po wyjeździe nuncjusza, po gwałtownem odsunięciu się Sullivana — Zim rachował już godziny, kiedy nareszcie przyjedzie jego następca, by go zwolnić z prowadzenia poselstwa, by mógł nareszcie opuścić to miasto, tak sympatyczne, a które pozostanie nazawsze punktem zwrotnym w jego życiu.

Miał już zamiar tak samo jak Willy roznieść swoje bilety w godzinach nierecepcyjnych, częściowo rozesłać przez woźnego, odbyć tylko wizyty zupełnie urzędowe i wyjechać w dniach najbliższych, gdy otrzymał bilecik od pani Nörgaard, zapraszający go na herbatkę.

Nie zastał nikogo u damy dworu, z czego był niezmiernie rad.

— Co ja słyszę, panie Zim, pan podobno ma zamiar nas opuścić?

— Nigdy w życiu nie opuszczę tak miłych przyjaciół, jakimi mnie Danja obdarzyła... Ale wyjeżdżam.

— Sądzę więc, że na krótko...

— Na bardzo długo. Wychodzę wogóle ze służby.

— Jakto — pan wychodzi! Czyż ze służby dyplomatycznej można wogóle wyjść, inaczej niż z powodu starości.

— Wychodzę na emeryturę.

— Ależ pan chyba dopiero zaczął karjerę?

— Jedną skończyłem, a drugą zaczynam.

— Podobno Van Cornelius także?

— Tak.

— Ależ to epidemja!

— Nie, pani, to naturalny bieg rzeczy.

— Czyżby?

— Niezawodnie. Byliśmy na to przygotowani. Skorośmy wystąpili publicznie z twierdzeniem, że w państwach nowoczesnych brak jest świadomej celowości i władzy kierowniczej, to oczywista, że ten kto to głosi nie może reprezentować oficjalnie ustalonych ustrojów.

— Więc panowie zgóry wiedzieli?

— Nie inaczej.

— No to jesteście męczennikami idei...

— Idei — tak, ale do męczeństwa daleko.

— Czy pan wraca do kraju?

— W tych dniach.

— I co pan tam będzie robił, jeżeli takie pytanie nie jest niedyskrecją.

— Och, pani, tyle jest na świecie pracy do wykonania.

— Czy pan wie, że nasz król bardzo się zainteresował pańskim odczytem, pana umysłowością, był łaskaw rozmawiać ze mną o tem. I nawet król polecił mi, bym się zajęła bliżej przestudjowaniem wszystkich tych zagadnień. Widzi pan, jakie król ma zaufanie do mojej inteligencji.

— Jestem przekonany, że się na niej nie zawiedzie.

— Musi mi pan jeszcze przed wyjazdem nakreślić — — — nie wiem jak to powiedzieć...

— Ja panią wyręczę. Pani chodzi o praktyczne wskazówki, jak dojść z chaosu do ładu, jak przejść z głupstwa do rozumu, z anarchji do synarchji.

— Właśnie, właśnie...

— Proszę pani, to jest prosta, ale bardzo długa historja. O ile chodzi o wasz kraj... U nas to się odbędzie znacznie prędzej.

— Dlaczego?

— Bo u nas już wiele w tym kierunku zrobiono.

— Co pan ma na myśli?

— Widzi pani, przedewszystkiem — ta filozofja jest polska. Ona jest jeszcze nie popularna, ale potencjalnie siedzi w każdym polaku, no i tkwi w naszej historji. U was trzebaby dopiero stworzyć atmosferę. Musi być środowisko, skąd wychodzą apostołowie. Dalej — trzeba zreformować trochę konstytucję państwa w tym kierunku, by otworzyć drzwi do wielkich przemian. Otóż u nas właśnie przerabia się konstytucję. Polska wogóle jest jeszcze w stadjum stwarzania właściwej formy dla swojej treści, fermentuje, szuka...

— Nasza konstytucja jest, zdaje się, bardzo dobra.

Zim się uśmiechnął.

— Pan jest innego zdania?

— Droga pani...

— Pan zna przecież naszych mężów stanu. Którzy z nich, według pana, nadawaliby się do wzięcia w ręce polepszenia ustroju?

— Żaden z nich, proszę pani.

Biedna pani Nörgaard oblała się potem.

— Jakto... Nikt...

— Niechże pani będzie łaskawa posłuchać mnie uważnie. Czy pani sobie wyobraża, by Japoński Mikado postanowiwszy, przypuśćmy, wprowadzić w Japonji — powiedzmy — katolicyzm, mógł polecić najczcigodniejszemu i najmędrszemu samurajowi — szintoiście dokonania tej reformy?

— Oczywiście, że nie.

— A widzi pani. Musiałby wezwać biskupów katolickich, choćby z Rzymu.

— No więc...

— Więc kierownikami państwa mogą być tylko ci, którzy wiedzą, dokąd mają iść. A tego nie wie ten, kto nie poznał praw dziejów.

— Ale pan je wszystkim nam wyłożył.

— Tak, tylko nie dość je znać. Trzeba być jeszcze duchowo gotowym do tego, by prawdy te nie tylko posiąść rozumem, ale władzami duszy i móc je wcielać w życie.

— A wy macie takich ludzi?

— Mamy — kilku czy kilkunastu, pewien zastęp w znaczeniu gotowości. I wy ich pewno macie, a nawet napewno, tylko ich nie znacie. Bo tacy ludzie nie potrafią się rozpychać łokciami, są skromni, cisi, nie zdolni do rządzenia, tylko do kierowania, sami w sobie są źródłem, z którego wszyscy czerpać mogą siłę, mądrość, wiedzę, jeżeli się poddadzą chętnie ich wpływom w wielkiej hierarchji duchowego rozwoju człowieka. Niech ich pani wyszuka. Oni są napewno złączeni.

— Ale gdzie ich szukać?

— Oni sami do pani przyjdą, skoro się pani sama stanie tą, którą pani chce się stać. Złoto idzie do złota. Siła magnetyczna przyciąga.

— Ach, gdyby pan został wśród nas!...

— Bardzo was lubię i cenię, ale w Polsce zrobię to szybciej, wogóle — w słowiańszczyźnie.

— Dlaczego w słowiańszczyźnie?

— Bo my, słowianie, mamy umysły bardziej skłonne do syntezy, do uogólnień, gdy wy jestecie analitykami i empirystami.

— Pan mnie zaciekawia. Muszę przyjechać do Polski.

— Proszę bardzo. Porobi pani odkrycia...

* * *

W dwa dni później Zim odpoczywał na leżaku, zwróconym ku słońcu, na pokładzie polskiego statku idącego do Gdyni.

Nie czuł się dobrze. Myślał ciągle że człowiek wytaczający walkę wszystkim, nie związany organicznie z żadną potęgą materjalną, nie szukający i nie znajdujący, oczywiście, korzyści osobistych, staje się typem wrogim dla zasiedziałych w ciepłych gniazdach, przypiętych do pełnego korytka, zorganizowanych w beneficjach niezasłużonych i porastających w pierze. Spodziewał się też, że w ojczyźnie trafi odrazu na opór muru obojętności — w najlepszym razie.

Nie cierpiał takiego stanu psychicznego. Tak kochał świat, życie, ludzi, że głupota, zazdrość, podejrzenie, złośliwość olbrzymiej większości bolały go niemal fizycznie. Czasem odczuwał nudności, gdy obserwował hjenę ludzką odżywiającą się trupem spreparowanym przez inną kanalję.

Rozumiał wszystko co się koło niego działo, nie tylko w treści, w przyczynie, ale i w dynamice i w podświadomych motywach. To cenne jasne widzenie, które mu dawało panowanie nad życiem swojem i cudzem, zdobyte wielkim wysiłkiem samostwarzania się i wchłaniania bólu świata, ma i ujemną stronę. Bo ukazuje mu obrzydliwą kuchnię preparowania tak zwanego życia w tyglu poziomych ambicji, poczętych z pychy, a zakończonych szampanem i wymiotami.

Półzwierzęce jeszcze dusze w pierwotnych zaledwie inkarnacjach nurzają się w rozkoszach sfatygowanego cielska i ciężarem liczby gniotą maleńką mniejszość tych co są — aż ludźmi, gdy tamci są — tylko ludźmi. Ba, duszą nawet własne pomioty, ślepi



na koło fatum, które ich zmiażdży w obrocie — tragicznym, jak prawa wszechświata.

Wysiłek zastanowienia się choćby na chwilę uważają za czas stracony, bo możnaby go przecież użyć na nową intrygę, która przyniesie — aż sto złotych.

Przemawiać do głuchoniemych — to rozkosz w porównaniu do rozmowy ze słyszącymi, którzy zatykają uszy. To męka.

A przecież...

„Rób tak jakbyś posiadł prawdę, a światło będzie ci dane".

Oto lazur zielony morza, przejęty promieniami słońca. Dla jednych — to tani środek przewożenia towarów, dla innych — skład śledzi, jeszcze dla innych — to jod i sól dla zdrowia, a dla niego — to wszechmoc Boża i takież wcielenie duszy kosmosu, jak on sam.

— Kocham cię, morze, bo łączysz kontynenty, nie dzielisz, boś niczyje i wszystkich, boś szczodre jak łaska Boża, bo dajesz bez miary, nie biorąc wzamian nic...

...i przypominasz mi oczy Niny...

Zszedł do salonu, by napisać list do niej.

„Całuję twoje oczy, Nino droga, dziewczyno z całego świata, któraś stanęła na mojej drodze. Przygarnij mnie myślą, bo czuję się podle. Nie wiem — dlaczego. Czy z powodu tego, że przez szyby widzę, jak morze dęba staje, czy dlatego, że mam fatalne przeczucia na najbliższe dni, czy że ciebie tu niema, czy że mi się zdaje, że tobie tęskno za mną. Najprzyjemniejsza mi jest myśl ostatnia, choć najdalsza od rozumu, który mnie jednak nie opuszcza.

Otóż ten rozum radzi ci, kochanie moje, byś tam czasu nie traciła i dokonała conajrychlej trzech czynów. Primo — przyjmij chrzest katolicki, bo on cię wzmocni duchowo, secundo — ucz się forsownie po polsku, znajdziesz tam napewno możność i tertio — ucz się jakiegoś fachu, bo gdy zostaniesz moją wdową, byłoby ci ciężko. Emerytury po mnie może i nie dostaniesz, bo sam nie jestem jej pewny, a jeżeli dostaniesz—to tyle co kot napłakał. A ponieważ w ustroju, który przygotowujemy, kapitał będzie tani, więc z majątku twego papy, który — jak każdy majątek — nie jest pewny, możesz nic nie mieć. Zresztą — w naszym ustroju wszyscy będą pracowali oprócz chorych, warjatów i matek — gospodyń. A że niewiadomo, czy będziesz miała dzieci, a gospodynią w domu, jako żywo, być nie umiesz, więc— — —

Brakuje mi cię bardzo. Nie mam z kim — gadać. Jesteś jedyną kobietą na świecie, która nawet po trzech godzinach rozmowy jeszcze mnie nie nudzi. I jedyną, w którą lubię się wpatrywać. Bo widzę w tobie posłannictwo. Nawet nie domyślasz się — jakie.

Widzisz, Nino, dotąd szedłem w życiu nadmiarem zapasów, jakie mi ono samo dało. Dziś włożyłem w nie z powrotem wszystko co miałem. Osiągnąłem punkt wysoki. Ale ja chcę szczytów siły. I ty właśnie musisz być tym elementem niepokojącym, który mi nie pozwoli na przystanek. Tylko rób to zawsze bardzo delikatnie, bo ja nie znoszę ostrych kantów.

Przyślę ci kilka książek z Warszawy, które przeczytaj uważnie. Wogóle — nie czytaj byle czego, pytaj się o wybór lektury Willy'ego, bo nic tak nie zaśmieca umysłu i duszy, jak obcowanie ze spekulantami literatury którzy sypią w oczy błyskotkami po dwa centy za karat.

Twój papa jest dobrym, miłym człowiekiem i pewno go pokochasz, ale słuchaj we wszystkiem brata, bo on jest człowiekiem przyszłości idącej. To nowy człowiek, który rośnie z każdym dniem. Człowiek, jeżeli przestaje róść, staje się zgrzybiałym starcem, choćby miał trzydzieści lat.

Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz i że nie poznam cię, gdy się zobaczymy, bo człowiek żywy ciągle się zmienia i staje się coraz doskonalszym. Inaczej — upada.

Gdy będziesz teraz poznawała swoją drugą ojczyznę, pamiętaj, że czeka cię jeszcze trzecia, najciekawsza, Polska, zmartwychwstała po to, by czynić cuda, jak św. Łazarz i dać ludzkości nową wiarę. Przypuszczam, że już to rozumiesz. Miałaś próbkę w Kopenhadze. Polskie Słowo było torpedą która wysadzi zakłamanie świata w powietrze. Jedno małe Słowo!...

Czeka mnie mnóstwo przykrości. Nic sobie z tego nie rób. Najwięksi moi wrogowie są moimi dobroczyńcami, bo mnie wzmacniają. Niedługo będę jeździł na wielkim smoku.

Miedzianowłosa Nino, opisuj mi wszystko co przeżywasz. Każdy twój list da mi obraz twojego postępu. Jestem tego pewny. Kocham cię za to, że jesteś wrażliwa a jednocześnie łakniesz prawdy i nie cierpisz fałszu.

I za to jeszcze, żeś taka śliczna, zdrowa, że kochasz życie, że się nie oglądasz za siebie, lecz patrzysz w jutro.

Jutro należy do nas!

Przysyłaj mi twoje fotografje amatorskie, chcę cię ciągle widzieć.

Całuję twoje serce —

Kazimierz".

Przechodził przez salon kapitan okrętu, zatrzymał się i zaprosił Zima do swego stołu na obiad.

Przez cały czas podróży Zim nie nawiązywał z nikim szczególnej znajomości. Był zajęty porządkowaniem swoich papierów i planowaniem działania w Warszawie. Co będzie robił, z kim się zobaczy, gdzie będzie mieszkał, kogo będzie szukał, a kogo unikał, kto go będzie bojkotował, a kto wyciągnie do niego rękę.

(D. c. n.)



ŚWIAT TEATRU



Ir. Grywińska i A. Balcerzak na scenie teatru Kameralnego

Teatr Kameralny: „Małżeństwo" komedia satyryczna w 3-ch aktach, 15 odsłonach Jana Vaszary'ego, przekład W. Horzycy, inscenizacja i reżyseria Emila Chaberskiego, dekoracje Stanisława Jarockiego.

Nieznana jest nam osoba Jana Vaszary'ego. Któż jest ów autor, który odstąpiwszy od zasadniczego, niejako uświęconego tradycją sceniczną trójkąta małżeńskiego, z ogromną pewnością siebie pokusił się o uwielokrotnienie momentu zdrady małżeńskiej, o podanie na deskach teatralnych przekroju intymnego życia salonów, alków i garsonier en gros, w „produkcji seryjnej"? Jest - że to wytrawny dramaturg, świadomy swego talentu, pewny i nieomylny obserwator, zżyty z teatrem znawca tajników sceny, czujący wagę wszelkich efektów teatralnych — czy też odważny młodzieniec, debiutujący swą sztuką w służbie wielkiej Muzy?

Kim są ci ludzie, ogarnięci erotycznym szałem, walczący papierowymi hasłami z teoretycznym zagadnieniem zdrady małżeńskiej?

Odpowiedzi nie znajdujemy.

W piętnastu odsłonach porywającej szalonym tempem sztuki przewijają się w oparach alkoholu papierowe sylwetki, oderwane od życia i rzeczywistości, zawieszone w pustce erotycznego rozpasania.

Nieznany debiutujący autor nie obliczył swych sił i możliwości. Pokusił się o pokazanie zagadnienia zdrady małżeńskiej na możliwie najrozleglejszym terenie i... zawisł w próżni. Brak poczucia sceny uniemożliwił mu stworzenie prawdziwych ludzi. Bohaterowie Vaszary'ego to papierowe sylwetki bez życia i prawdy. Dziennikarz Strasser nie różni się niczym od dyrektora banku Hermanna. Dlaczego dziennikarz? Dlaczego dyrektor banku? Dlaczego aktor? Dlaczego szofer? Co ich wyróżnia z tłumu innych papierowych sylwetek? Gdzież jest choć *jedno słowo*, charakteryzujące ich zawód, powołanie, rolę w społeczeństwie?

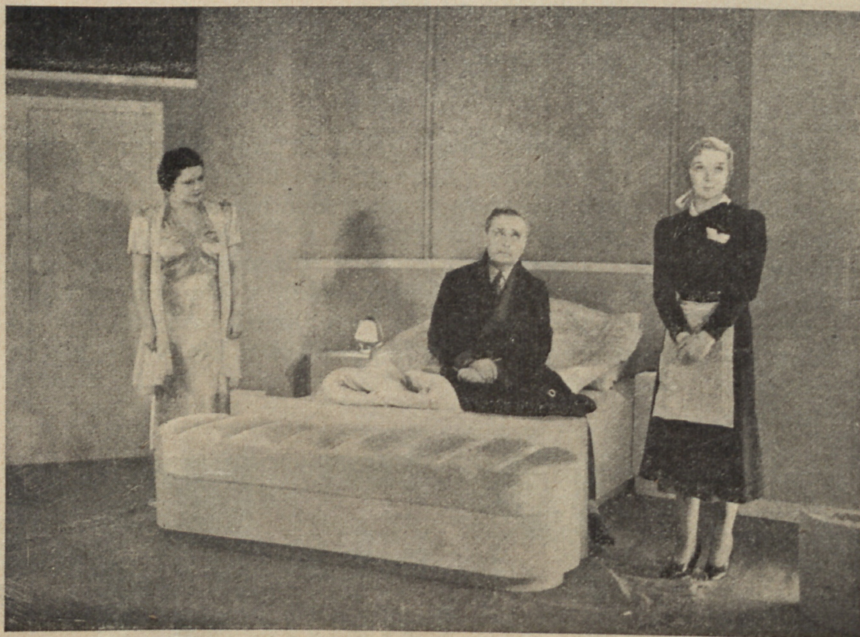
Pomysłowa inscenizacja i reżyseria Emila Chaberskiego pozwoliła na stworzenie z papierowej sztuki widowiska łatwostrawnego i interesującego. Ciekawe pomysły inscenizacji pozwalają szczęśliwie przebrnąć przez piętnaście odsłon tej niesamowitej sztuki, a żywiołowe tempo rozwoju akcji zasłania liczne słabizny scenicznej karykatury. Bo sztuka Vaszary'ego nie jest — jak chce autor — komedią satyryczną. Wyolbrzymione nienaturalnie psychopatyczne cechy bohaterów stwarzają z niej karykaturę życia. — Karykaturę, krzyczącą wrzaskliwością sensacyjnych tytułów brukowego pisma, odpychającą cynizmem i pornografią.

Podziwiać należy zespół teatru Kameralnego, że mimo tych wad organicznych sztuki, wydobył z niej takie bogactwo treści. Adwentowicz i Grywińska kunsztem swego talentu aktorskiego stworzyli z tytułowego małżeństwa rzeczywistych, żywych ludzi. Ich troski, kłopoty, awantury i małżeńskie sceny miały akcenty prawdy. Niebylejakiego trzeba było talentu, żeby zapełnić pustkę autora bogactwem formy i treści. Sceny, w których aktorzy ci występują razem stanowią niedościgłe wyżyny artyzmu. Nie dziwmy się, że przy tej czołowej parze sylwetki pozostałych postaci scenicznych musiały wypaść bardziej blado. Balcerzak swego pianistę Sordę wystylizował interesująco i konsekwentnie. Służąca Frania (Hanna Różańska) miała trafne wyczucie środowiska, zdecydowaną i skrystalizowaną sylwetkę. Rozwydrzona pannica Fiszerówny mimo zbytniego cynizmu, była istotą żywą, realną, acz niesympatyczną. Pozostałe małżeństwa — Kwiatkowski, Orleńska, Leśniewski, Zawiszanka — przeciwstawiali zwycięsko papierowości postaci sztuki swe zdolności aktorskie, wywołując żywy aplauz widowni.

Na białej, pustej karcie sztuki Varszary'ego sprężysta reżyseria i świetnie grający zespół zapisali trwałymi zgłoskami artyzmu i szczerości, treść stokroć głębszą od zamierzeń autora. A jednak mimo żywości przedstawienia, mimo świetnych dekoracji Jarockiego, mimo ogromnego wysiłku wykonawców trzeba przyznać, że szkoda było *takiego* zespołu dla *takiej* sztuki.

Mimo to warto pójść do teatru, gdzie jedno przedstawienie idzie miesiącami, aby zobaczyć zespół, który potrafił uratować sztukę Vaszary'ego i zapełnić widownię publicznością spontanicznie oklaskującą mistrzowską grę i reżyserię.

Zastępca.



H. Różańska, K. Adwentowicz, Ir. Grywińska w komedji Vaszary „Małżeństwo"

NA MARGINESIE KSIĄŻKI M. B. LEPECKIEGO

„DROGĄ KORSARZY I ZDOBYWCÓW"

Na ludziach, obdarzonych pewną dozą wrażliwości i ciekawości życia, kraje egzotyczne wywierają na zawsze wpływ niezatarty. Wpływ jest tem większy i rozciągliwszy, im bardziej wrażliwość jest wybujała i ciekawość nienasycona.

Lepecki jest naogół raczej pogodnym, powściągliwym optymistą i nie zawsze dość wyraźnie odgranicza dwa obce i wrogie sobie światy — egzotyczny i nasz — i raczej stara się je godzić i łączyć. Ciąży jednak na nim tu, w Europie, posępność dnia, brak słońca i ciepła, monotonność życia i jego sztuczność męcząca. Tęsknota za krajami egzotycznemi i ich szczere ukochanie wyczuwa się stale w książkach Lepeckiego. Ta tęsknota nie wybucha i prawie nigdy nie uderza gwałtownymi akordami protestu i żalu: płynie cicho i łagodnie. Źródła tego opanowania trzeba szukać w samej psychice Lepeckiego, i poniekąd w tej jego błogosławionej pewności pozwalającej mu wierzyć, że niezadługo znowu powróci do krajów, które go wabią, by wyrwać im nowe tajemnice i by podpatrzeć nowe uroczyska.

* * *

Na dzieła Lepeckiego złożyły się talent i rzetena praca. *W ciągu dziesięciu lat napisał on dwadzieścia pięć tomów!* Dorobek imponujący! A choć ton tych książek nie jest jednakowo mocny i czysty, niema przecież wśród nich żadnej, którąby była pozbawiona zalet i wartości. Walory talentu Lepeckiego przejawiają się może najwyraźniej w „Drodze korsarzy i zdobywców".

Czytelnika uderza tu bezustannie duży zapas wiedzy, którą zresztą Lepecki imponować nam nie chce: posługuje się nią dyskretnie i tylko z konieczności. Opis Patagonji, lub Ziemi Ognistej jest wierny i wyczerpujący — przynajmniej w promieniu zainteresowań i obowiązków podróżnika - literata. Najważniejsze jednak jest to, że „Droga korsarzy i zdobywców" naładowana jest artystycznymi obrazami i opisami pierwszorzędnej jakości.

Wczucie się w życie i niedolę świata zwierzęcego przy pogardliwej odrazie dla *bezmyślnego* okrucieństwa ludzi białych, zwyrodniałych w barbarzyńskiej cywilizacji daje Lepeckiemu najwymowniejsze świadectwo moralności— w znaczeniu, oczywiście jaknajgłębszym. A że nie uderzył w struny o ckliwym pobrzęku, co łatwo mogłoby mu się przytrafić ze względu na sam temat, więc tem głębiej sięgnął do naszej duszy i tem mocniejsze wywołał echo. My również, wraz z Lepeckim pozostaniemy do końca życia przyjaciółmi guanaków, fok i pingwinów, a wrogami hodowców owiec i ucywilizowanych myśliwych.. temwięcej, że cywilizowany biały myśliwy i hodowca poluje także na... Indjan...

„Dziewiczy step, którym dotychczas po bratersku dzielił się czerwonoskóry z guanakiem i huemulem grodzą żelaznemi drutami i zabraniają odwiecznym mieszkańcom wstępu na „swoje" dzierżawy. Zręczny guanak mało sobie robi z zakazów; gorzej dzieje się Indjaninowi, który niema gdzie polować i z reguły zaczyna dobierać się do pańskich owiec i baranów. I niema na to rady, więc właściciele estancji (a mało wśród nich znajduje się ludzi z sercem) wynajmują specjalnych myśliwców, aby Indjan „przepłoszyli". „Myśliwcy" są obowiązani przynosić na dowód spełnionego obowiązku nosy, lub uszy zabitych koczowników. Tak było dawniej. Później okazało się, że myśliwcy, powodując się odrobiną litości, ale nie chcąc jednak tracić wysokich zarobków, ucinali nosy żywym Indjanom, co, oczywiście, nie pozbawiało ich życia. Przemyślni estancjerzy, widząc wielu Tehuelczów bez nosów, zrozumieli rychło podstęp i kazali sobie przynosić już nie nosy, lecz całe głowy. Dzisiaj wypadki takie zdarzają się rzadko, nie dla tego, aby estancjerzy, głównie Anglicy i Niemcy, byli humanitarniejsi, tylko poprostu dlatego, że zaczyna brakować Tehuelczów".

Nie bawił długo Lepecki w odwiedzinach u Tuhuelczów: „Wstyd mi było mojej białej twarzy..." powiada.

Józef Gajkowski.

D R O B I A Z G I
W Y T W O R N E

Pewien jegomość, który ustawicznie obracał się w dobrem towarzystwie, miewał z tego powodu silne zawroty głowy.

*

Rozmowa towarzyska wśród mieszkańców wysp Hawajskich należy do rzeczy niezmiernie trudnych. Przez cały bowiem rok panuje tam stale wspaniała pogoda.

*

— Co mam zrobić z tym fantem? powiedziała młoda panienka, nie mogąc się zdecydować na wyjście zamąż za swego wielbiciela.

*

Czy prawowity Żyd, należący do ortodoksów, może chorować na świnkę?

*

Spóźniłem się kiedyś na wielki mecz bokserski. Wpadam na widownię, zatrzymuję pierwszego z brzegu jegomościa i pytam jaki wynik.— Sześć tysięcy złotych, odpowiada.

*

Znałem jednego pana P., który pochodził z bocznej linji państwa P. mianowicie tej tramwajowej.

*

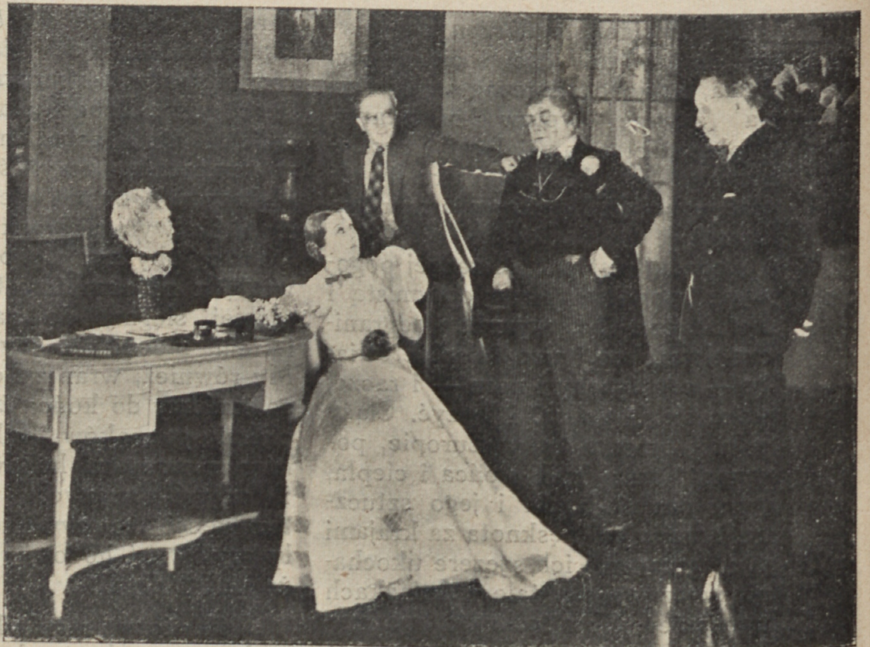
Ze wszystkich książek najbardziej pasjonujące są książki handlowe. Nigdy bowiem nie wiadomo jak się skończą.

W. Łukasik.

„PIGMALION" B. SHAW'A W TEATRZE POLSKIM

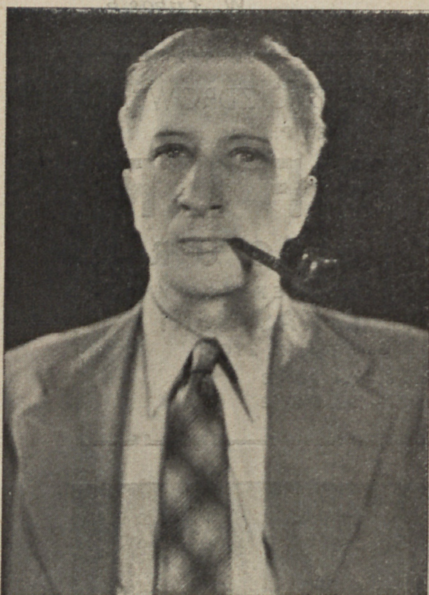


JANINA ROMANÓWNA
z wdziękiem i temperamentem gra rolę Elizy



Wznowiona po 5 latach kapitalna komedja B Shaw'a „Pigmalion" cieszy się olbrzymiem powodzeniem dzięki doskonałej reżyserji A. Węgierki i niezrównanej grze całego zespołu. Scena zbiorowa z ostatniego aktu.

ALEKSANDER WĘGIERKO
znakomicie wyreżyserował świetną komedję Shaw'a „Pigmalion" i sam zagrał z finezją i inteligencją rolę profesora Higginsa.





J. KURNAKOWICZ
dosadnie odtworzył w „Pigmalionie" paradoksalną figurę włóczęgi Doolittla.

ALINA ŻELISKA
pełna uroku, młoda artystka Teatrów T. K K. T. zwróciła na siebie ostatnio uwagę ogólną doskonale zagraną rolą w sztuce „3—6—9" w Teatrze Nowym.



CZY PANI WIE, ŻE...

... woda deszczowa jest obecnie jednym z najbardziej poszukiwanych „kosmetyków" w Paryżu. Niestety — mieć ją można naprawdę tylko na wsi, czystą i niezafałszowaną. Która z pań ma to szczęście, że mieszka na wsi, powinna stale stawiać na dworze czysty zbiorniczek na wodę deszczową. Wygładza i wydelikatnia skórę, jak najlepszy kosmetyk. No i — tak niewiele kosztuje...

Poprostu — „spada nam z nieba". Chociaż to jedno...

■

... maquillage trzeba starannie dobierać do toalety. Nie pacykować się bez różnicy tym samym kolorem na rano i na wieczór, do sukni białej czy do sukni czarnej.

Wieczorem, do sukni ciemnej, granatowej lub czarnej, proszę wybierać kolory pudru i różu jasne, przejrzyste — stworzą one pani koloryt pełen olśniewającego blasku, świetnie kontrastujący z ciemną szatą. Natomiast do sukien jasnych, zwłaszcza białych — charakteryzować się należy na mulatkę. Opalona skóra najpiękniej wygląda przy jasnej sukni.

■

... gdy nos pani łatwo się czerwieni, śmieszny ale skuteczy sposób prababek radzi: mocno, energicznie, natrzeć sobie — uszy! Zaczerwienią się, rozgrzeją — i krew do nich napłynie. Zamiast do owego nieszczęsnego, przed chwilą zaczerwienionego noska...

Dama Pikowa.

...polki słyną z pięknych nóżek, a obuwie polskie z wykwintnego wykończenia. Nic dziwnego, że zwłaszcza obecnie, przy modzie krótkich spódniczek — każda z pań myśli przedewszystkiem o tem, aby obuwie jej było bez zarzutu. Osiągnie to z najwyższą łatwością, jeżeli stale używać będzie świetnej PASTY DO OBUWIA firmy DOBROLIN, która nietylko nadaje obuwiu piękny połysk, ale też znakomicie je konserwuje.

BALETMISTRZ PANA PODSKARBIEGO

Z dalekiej Francji extrapocztą wśród srogiej polskiej zimy sprowadził Pan Podskarbi Tyzenhaus Imć Ledoux, statystę paryskich teatrów. Zachciało mu się bowiem mieć własny balet. Pan Podskarbi bogatą miał fantazję, przedsiębiorczym i majętnym był, a w teatrum lubował się wielce i na balecie nie najgorzej się znał.

Cudzoziemcowi po rozbawionym, hałaśliwym Paryżu jakże smutne wydały się ośnieżone, bezbrzeżne i puste pola grodzieńszczyzny.

Żywy i wesoły, stracił nagle pewność i w nużącą melancholię popadł, a dźwięk janczarów u sanek zdawał mu się być w tej przydługiej drodze jakimś pogrzebowym dzwonieniem.

Dopiero, gdy ujrzał wśród fantastycznie oszronionych drzew podskarbiński pałac, roześmiały mu się oczy i żywość powróciła. Lekki, jasny budynek przypomniał mu podobne budowle ciepłej i drogiej Francji.

Z uprzejmością, ale i z pańskim chłodem przyjął go Podskarbi, niewiele dziękując, że dla jego to zachcianki francuz tak długą odbył drogę.

Cenił pono Podskarbi baletowy talent Imć Ledoux, ale nie przeszkadzało mu to, by przeznaczyć marznącemu baletmistrzowi maleńką stancję w zimnej i wilgotnej oficynie.

Stało się zadość życzeniu pańskiemu, francuz szczęśliwie nauczył ospałe grodzieńskie dzieci tańczyć klasycznie.

Pierwszą baletową stworzył szkołę i już pochwały sypano mu obficie. Aliści klimat, otoczenie i brak ludzi swoich a życzliwych, w markotność wpędzały mistrza. Krzyki dochodzące z pobliskiej izby ekonoma, który chłostą karał parobków, w febrę go wprowadzały.

Los zdarzył, że zimowym wieczorem, kiedy baletmistrz pogrążony był w nadesłanym mu romansie jakowymś, dobiegło uszu jego wołanie o pomoc.

Demokratyczne serce francuza drgnęło, nie znosił krzywdy.

Wpadł do sąsiedniej izby, wyrwał bat z rąk ekonoma i osłupiałego obił po plecach.

Kiedy podskarbiński oficjalista ochłonął, podniósł pięść, pogroził i rzekł:

— Zapłacisz mi za to, komedjancie!

W czas jakiś, kiedy Ledoux wracał z sąsiedniej wsi, napadnięto go znienacka i byłby zginął sromotnie, gdyby nie para krócic dobrze mu służących. Naznaczono mu czoło jednak i pobito dotkliwie.

Wytrwał. Dalej uczył dzieci, a potem doskonały już zespół baletowy przeniósł najprzód do Grodna, a wreszcie Warszawy. Radował się wielce Pan Podskarbi.

Nadziwić się nie mogła i nachwalić warszawska societa baletu.

Od króla, aż do lokajı wszyscy na ustach jeno mieli nowy balet a skromne nazwisko Ledoux rosło z dnia na dzień, olbrzymiało.

Dorobił się francuz, jak każdy cudzoziemiec w gościnnej króla Stasia stolicy.

W Warszawie przeżył Insurekcję, z trudem znosząc widok rozlanej krwi. Ufundował mały szpitalik i tym zasłużył sobie na wdzięczność i tytuł niebylejaki. Dawny statysta paryskich teatrów, obity przez kresowych chłopów „komedjant" został teraz jednym z szesnastu adjutantów, mających obowiązek i honor chronić osoby króla podczas jego przejażdżek po mieście.

Zaiste honor nielada z podskarbińskiego baletmistrza stać się obrońcą króla. Galopować codzień obok karocy Jego Królewskiej Mości w trosce o Majestatu zdrowie.

Tak — trzeba to wyznać stanowczo, że „wypudrowana i wyfraczona" Polska Stanisławowska była dla cudzoziemców siedliskiem wielkich i wszelkich możliwości...

Jerzy W. Helbich.

GDY GWIAZDY SĄ W ZGODZIE

Bajka kaukaska

W pewnej krainie u stóp wysokich szczytów górskich stał zamek w którym mieszkał król Eldzi — władca spokojnego królestwa. Z sąsiadami łączyły go przyjazne stosunki. Spokój więc i harmonja panowały w jego kraju.

Mieszkańcy byli szczęśliwi. Zwierzęta były płodne, mężczyźni pracowici, a kobiety dobre i gospodarne.

Król Eldzi był marzycielem. Myślał o swoim przeznaczeniu, o zmiennej fortunie, o śmierci.

Pewnego dnia zwołał do pałacu 7-miu swych podwładnych. Poruszano różne tematy, mówiono o władzy monarszej, o zwycięstwach i klęskach, o życiu dobrym i złym, o rzeczach pięknych i brzydkich.

— Chciałbym wiedzieć co jest najmilszego a co najgorszego na świecie? — spytał nagle król.

Czoła mędrców zmarszczyły się, jednak milczeli wszyscy.

— Daję wam jeden dzień do namysłu jeśli jutro nie dostanę odpowiedzi, każę was powiesić.

Mędrcy byli zakłopotani. Myśleli długo, ale nikt nie mógł dać trafnej odpowiedzi. Co to może być najmilszego i najgorszego na świecie?

W końcu doszli do wniosku, że noc i samotność są lepsze do rozmyślań, niż dzień. Każdy udał się do swego domu, aby w ciszy i w spokoju rozwiązać zagadkę.

Jeden z tych mędrców był ojcem Fatymy, młodej i pięknej dziewczyny. Fatyma zmartwiła się, gdy zobaczyła ojca przygnębionego.

— Co ci jest ojcze — wiem, że masz jakieś zmartwienie — chcę ci pomóc — powiedz.

— Zostaw mnie w spokoju. Kłopoty moje nie dotyczą ciebie. Idź lepiej spać moje dziecko.

Fatyma nie dała jednak za wygraną, póty prosiła, aż w końcu struszek powiedział o przyczynie swego smutku.

— Wiem jak masz postąpić. Idź teraz na spoczynek ojcze a jutro dam ci odpowiedź na te dwa pytania.

Następnego dnia Fatyma, jak zwykle była w dobrym nastroju. Starzec natomiast nie zmrużył przez całą noc oka. Długo myślał i do żadnego wniosku nie doszedł.



— Ojcze, zrób tak, abyś zabierał głos ostatni. Powiedz królowi, że najmilszą rzeczą na świecie jest zgoda gwiazd męża i żony. A najgorszą rzeczą są długi.

O wyznaczonej godzinie wszyscy zebrali się w pałacu królewskim, oczekując na przybycie króla.

Wkrótce zjawił się Eldzi i z wielkim zaciekawieniem, wysłuchiwał odpowiedzi mędrców. Żadna jednak nie podobała się królowi. Wreszcie przyszła kolej na ojca Fatymy.

— Królu — rzekł — mojem zdaniem, najmilszą rzeczą na świecie jest zgoda gwiazd męża i żony, a najgorszą są długi.

Król spojrzał na starca.

— Skąd wziąłeś tę odpowiedź? — spytał.

— Sam wymyśliłem — odparł zapytany.

— Powiedz prawdę. Jeśli chcesz mnie oszukać, stracisz moją przyjaźń.

Wówczas starzec przyznał się, że odpowiedź tę podyktowała mu córka.

— Przyślij do mnie swą córkę — chcę z nią porozmawiać — rzekł władca.

Tego samego dnia Fatyma przybyła do pałacu.

— Czy masz męża? — spytał król.

— Nie królu.

— Więc jakim sposobem wiesz, że najsłodszą rzeczą na świecie jest zgoda gwiazd w małżeństwie?

— Wiem to od swej matki. Gwiazdy małe, które my ledwo widzimy na niebie są w rzeczywistości bardzo potężne. Krążą one, ale droga ich niema kresu. Towarzyszy im stale melodja podobna do szumu drzew, nocy wiosennych, lub strumyków górskich. Każda gwiazda ma swój kształt i harmonijne, subtelne ruchy. Każda z nich jest zamieszkana przez dusze, które schodzą na ziemię, ożywiając

ciało ludzkie. Jeśli gwiazdy podobne do siebie spotykają się w przestworzach, wówczas melodja, która im towarzyszy staje się jeszcze wspanialsza i tak rokoszna, że dusze które ją słyszą są w ekstazie. Dusze chcą, aby ta melodja trwała długo, tak długo, aby na wieki zachować ją w pamięci. Będąc już na ziemi dusze pamiętają wciąż muzykę gwiazd. Jeśli mężczyzna spotka kobietę, której dusza mieszkała na tej samej gwieździe co i jego, wówczas małżeństwo będzie bardzo pomyślne.

— Dobrze, ale skąd wiesz, że najgorszą rzeczą na świecie są długi? Twój ojciec jest człowiekiem zamożnym. Pieniędzy wam nie brak.

— Często siedzę z robótką w oknie. Pewnego dnia ujrzałam na drodze pięknego młodzieńca. Szedł wesoło, dumny, jak książę. Na spotkanie jego szedł starzec, nędznie ubrany. Młody człowiek, ujrzawszy starca zmienił się do niepoznania. Krok jego stał się chwiejny i niezdecydowany. Plecy zgarbiły się, jakby pod ciężarem. Starzec zbliżył się do niego mówiąc:

— Jeśli jutro nie oddasz mi długu, to się strzeż. Spotkamy się w sądzie.

Młodzieniec chciał coś mówić, ale słów mu zabrakło. Stał ze spuszczonymi oczyma i milczał. Wstyd mu było — nie mógł nawet śmiało spojrzeć na starca. Wówczas zrozumiałam, że niema nic gorszego od długów.

Król był zdumiony rozsądkiem Fatymy.

Fatyma wkrótce została królową.

Pewnego dnia spacerując z młodą małżonką po parku król spostrzegł, że Fatyma kuleje. Wściekły, że nie zauważył tego przed ślubem, król ironicznie zwrócił się do Fatymy:

— U twego ojca niema w ogrodzie prostych ścieżek, dlatego kulejesz.

Fatyma zrozumiała, że królowi chodzi o jej krótszą nogę, więc szybko odparła:

— Tak królu ścieżki nie są proste, ale jakimś cudem po nich prosto i równo chodziłam. Nie umiem chodzić po królewskich drogach, dlatego utykam na jedną nogę.

Król pokochał ją bardzo, mimo jej kalectwa.

Dżennet Dżabagi.

Odpowiedzi Redakcji

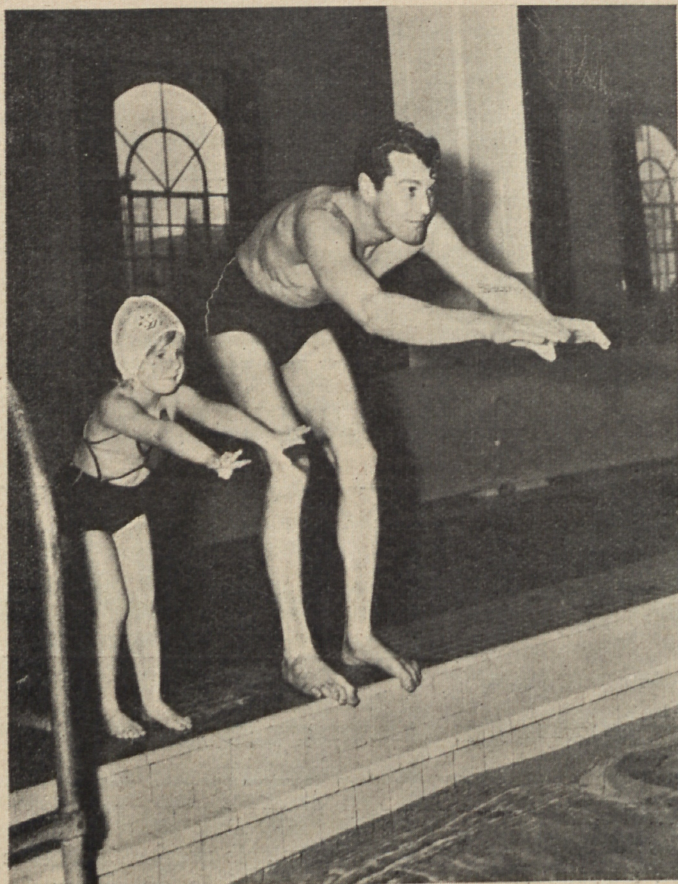
Podajemy spis artykułów, które nie zostały przyjęte do druku.

Pani W. Bac. — W studenckiej bursie.

Pan J. C. — Tragedja Brzozowskiego.

Rękopisy są do odebrania w redakcji, przez przeciąg 2-ch tygodni Po upływie tego czasu zostaną zniszczone.

ŚWIAT



Wiele dziewcząt zazdrości zapewne małej Derry Deane nauki pływania z pięknym Phil Hustonem, artystą R. K. O. Radio

„Tańczący pirat" Roma

Przeżywamy obecnie „inwazję" filmów w barwach naturalnych. W ubiegłym tygodniu trzy kinematografy stolicy wyświetlały obrazy kolorowe. Barwa to drugi wielki krok naprzód od czasu wynalezienia sposobu projekcji ruchomych obrazów.

Kiedy w 1889 roku genialny Tomasz Alva Edison wynalazł swój „kinotoskop", nie śniło się współczesnym niebywałe tempo rozwoju i doskonalenia niedocenianego początkowo wynalazku. Przez sześć lat nie odważono się demonstrować publicznie niedoskonałego jeszcze aparatu filmowego. O pierwszym publicznym pokazie kinowym dowiadujemy się, że miał miejsce w Paryżu, na bulwarze des Capucines dnia 25 grudnia 1895 roku. Minęło 42 lata. Film osiągnął swój wiek męski. Po stosunkowo długim niemowlęctwie w roku 1926 film przemówił. Dziesięć lat wystarczyło do całkowitego technicznego opanowania dźwięku, gdy pokuszono się o filmowanie w barwach naturalnych. Po szeregu obrazów eksperymentalnych filmy kolorowe triumfalnie zdobywają rynek. Już tylko krok dzieli nas od doskonałości, a w zaciszach laboratorjów powstają plany aparatury filmu plastycznego.

Filmowi RKO. Radio „Tańczący pirat" należy przyznać, że z dotychczasowych zdobyczy techniki filmowej szczęśliwie zużytkował te, które najdodatniej zaznaczyły się w poszczególnych etapach rozwoju.

Film tętni życiem, ruchem, rozmachem. Sytuacje, sceny, ugrupowania zmieniają się jak w kalejdoskopie. Melodie lekkie, miłe łatwo wpadają w ucho, stanowiąc dobry podkład dla rozwoju błahej, naiwnej fabuły, utrzymanej w bezpretensjonalnym pogodnym tonie. Opracowanie kolorowe staranne, barwy miękkie, pastelowe, użyte z należytym umiarem, szczęśliwie pozostają na właściwym planie. Dźwięk i barwa są trafnie dostosowanym środkiem — nie stanowią same przez się celu.

Bardzo naiwna fabuła utrzymana na poziomie fantastycznych książek dla młodzieży rozwija się pogodnie, bez zgrzytów i komplikacji, przynosząc coraz to nowe sceny, pełne szczerego humoru, podanego w formie kulturalnej acz często prymitywnej.

Historja o tańczącym piracie, nieprawdopodobna i nierealna łączy poszczególne sceny o charakterze rewiowym. Taniec solowy i grupowy w rytm miłej, melodyjnej muzyki króluje niepodzielnie. W świetnej zabawie prym wiodą Charles Collins i Steffi Duna, których wyczyny taneczne, graniczące z a-

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem porozumieniu się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

FILMU

krobacją, często nie ustępują znanym i reklamowanym gwiazdom — Ginger Rogers i Fred Astaire. Z niekłamanym temperamentem, humorem i werwą, na czele zgranego zespołu wiodą taneczne korowody, czarując harmonią ruchów i barw, niejednokrotnie oszałamiając przepychem wystawy i bogactwem strojów. Ucieszne niedołęstwo i niezaradność, makabryczny taniec nieszczęsnego skazańca pod szubienicą należy do dziedzin humoru dość płaskiego, ale szczerość wykonania i prawdziwa werwa nadają mu pozory szlachetniejsze.

Szczęśliwe sharmonizowanie muzyki, rytmu, tańca i barwy daje ciekawe nowe akcenty, wykazując duże możliwości filmu barwnego w dziedzinie rewiowo - operetkowej, co znacznie może ożywić dotychczas monotonne i jednostronne rewie kinowe.

Pierwsza udana próba w tym kierunku już jest dokonana. Czekamy na dalsze, pod warunkiem, że dawkowanie scen rewiowych będzie stosowane z umiarem.

J.



Margot Graham na tle swego uroczego domu w Beverly Hills

WIADOMOŚCI... INFORMACJE... PLOTKI...

„Souls at Sea" — Film z prawdziwego zdarzenia

Pewnego kwietniowego poranka niespełna sto lat temu zdarzył się na pełnym morzu wypadek, który przez długi czas zapełniał całe kolumny pism codziennych na dwu kontynentach, sprowadził pewnego człowieka przed uroczysty sąd parów Anglii i był powodem najzaciętszych dyskusyj owego dziesięciolecia. Wypadek ten posłużył, jako temat do „Souls at Sea", potężnego filmu Paramountu. Film jest romantyczną historią ludzkich przeżyć, przygód, konfliktów, zalotów na lądzie i morzu w interesującej epoce lat czterdziestych ubiegłego stulecia. Niewolnicy, mężowie stanu, mieszczanie, arystokraci, oficerowie marynarki brytyjskiej, złodzieje i kochankowie są jej bohaterami, jednak głównym wątkiem jest romans angielskiej arystokratki i młodego amerykańskiego marynarza.

W filmie tym w głównych rolach grają Gary Cooper i Henry Wilcoxon. Reżyserję powierzono Henry Hathawayowi. Kim jest Gary Cooper nie trzeba chyba przypominać. Na tym miejscu pragniemy tylko przypomnieć naszym czytelnikom Henry Wilcoxona, znakomitego odtwórcę ról bohaterskich w filmach Cecila B. de Mille'a. W „Kleopatrze" grał on Marka Antoniusza, w „Wyprawach Krzyżowych" — Ryszarda Lwie Serce. Rola, jaką otrzymał w „Souls at Sea" jest jednak innego typu. Będzie on tym razem „czarnym charakterem", bratem ukochanej Gary Coopera, którą odtwarza Frances Dee.

ŚWIAT FILMU

„Droga do sławy" film dla milionów!

...Wokoło pękają granaty... ludzie padają jak muchy pod obuchem śmierci. Obok wielkiego leja znajduje się posterunek Francuski. Za parę minut ci umorusani błotem ludzie, odziani w błękitne strzępy mundurów wylecą w powietrze. Chwile przeciągają się w nieskończoność. Stoją skuleni. Na granatowym niebie zabłyska rakieta, potem druga, trzecia. Rozlega się ogłuszający huk...

Oto jedna ze scen filmu wojennego reżyserji Howarda Hawksa p. t. „Droga do Sławy".

W tym niecodziennym obrazie grają: Fryderych March, Lionel Barrymore, Warner Baxter i June Lang. Te nazwiska mówią chyba same za siebie i są najlepszą gwarancją wartości tego obrazu.

Mężczyźni brutale

Rudolf Valentino zapoczątkował specjalny typ amantów, których królem był Ramon Novarro. Wyłom zrobił Charles Bickford, który stał się wzorem „mężczyzny-brutala". Prędko jednak moda tego rodzaju poszła w niepamięć, choć wpływ jej spowodował, że dziś pierwszym amantem ekranu jest łączący w sobie cechy obu kierunków — Clark Gable. Podoba się kobietom i wogóle publiczności z jednej strony jego uroda, z drugiej sposób bycia — energiczny i szorstki. Idealną sylwetkę w tym stylu stworzył Gable w filmie „Nie ufaj mężczyźnie".



Skippy, fenomenalny aktor w filmie R. K. O. Radio „China Passage" — wraz ze swą przyjaciółką Constance Worth

Prawdziwa „dama kameliowa"

„Moja droga Marie!

Nie jestem dość bogaty, by móc kochać cię tak, jak pragnę, ani dość biedny, by móc być kochanym tak — jak Ty tego chcesz. Zapomnijmy więc oboje — Ty, imię prawdopodobnie zgoła Ci obojętne, ja zaś chwile szalonego szczęścia.

Nie ma po co rozwodzić się nad tymi chwilami. Adieu! Z pewnością zrozumiesz motywy tego listu — i nie wybaczysz mi... Całuję A. D."

List ten otrzymała panna Marie Duplessis dnia 30-go sierpnia 1845 r. od początkującego literata Aleksandra Dumasa Jr. Był to finał jedenastomiesięcznego romansu, który przetrwał przez wiek cały w przepięknej powieści „Dama Kameliowa".

Prototyp damy kameliowej — Marie Duplessis, której prawdziwe nazwisko brzmiało Alphonsine Plessis, była głośną paryską kurtyzaną.

Stała się naprawdę słynna dopiero po ukazaniu się „Damy Kameliowej", przyczym publiczność tak ściśle identyfikowała Marguerite Gutier, bohaterkę romansu z Marie Duplessis, że nazywano ją od tego czasu „damą kameliową".

Ciekawe, że mademoiselle Duplessis nie cierpiała kwiatów w ogólności, i tylko powieściopisarz wprowadził do powieści wyjątek — kwiat kamelii. Poza tym szczegółem i mocniejszym finałem — wszystko w „Damie Kameliowej" odpowiadało prawdzie.

„Dama Kameliowa" stała się niesłychanie poczytną powieścią. Przerobiono ją na sztukę sceniczną. W roli Marguerity występowały Sarah Bernhard, Eleonora Duse, Modrzejewska.

Przeróbką operową jest „Traviata".

Obecnie „Dama Kameliowa" została sfilmowana. Główne role powierzono Grecie Garbo i Robertowi Taylorowi. Realizował George Cukor.



Jack Oakie i Lily Pons na tle świateł Paryża, w jednym z filmów R.K.O. Radio

Victor McLaglena w nowym przeboju

Świetny aktor ten ukończył obecnie wspaniały obraz sensacyjny w reżyserji George Marshalla p. t. „Nancy Stelle is Missing". Obok Victora McLaglena ukażą się: June Lang i Peter Lore (znany z europejskiego filmu Fritza Langa p. t. „M" — Morderca).

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. W. Łazarski, Dzierż. Spółdz. „SPÓJNIA", Żelazna 58a